Rok 1901. Lwów, 3. Lutego Nr. 5.

TYGODNIK NARODOWY

POLITYCZNY, SPOŁECZNY, EKONOMICZNY i LITERACKI ILLUSTROWANY

wychodzi każdej niedzieli

pod redakcyą Klemensa Kołakowskiego.

WARUNKI PRENUMERATY

(z przesyłką pocztową)

W Austryi i Węgrzech	koron:	rocznie 16·—	półrocznie 8·—	kwartalnie 4·—	miesięcznie: 1·40
W Rzeszy niemieckiej	marek:	„ 16·—	„ 8·—	„ 4·—	„ 2·—
W innych krajach europ.	franków:	„ 20·—	„ 10·—	„ 5·—	„ 2·—
W Ameryce północnej	dolarów:	„ 4·—	„ 2·—	„ 1·—	„ 1/2
W Ameryce południow.	franków:	„ 25·—	„ 13·—	„ 7·—	„ 3·—

PRENUMERATĘ należy uiszczać zgóry.

Najdogodniej jest przesyłać pieniądze przekazem pocztowym adresując:

Administracya „TYGODNIKA NARODOWEGO“ Lwów Cicha 5.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w kraju i za granicą oraz Biura dzienników.

Numer pojedynczy kosztuje 40 halerzy.

OGŁOSZENIA

po 12 halerzy od wiersza petitowego w jednym łamie przy umieszczeniu jednorazowem. Ogłoszenia kilkurazowe za stosownym rabatem.

DONIESIENIA w rubryce „NADESŁANE“ po 30 hal. od wiersza.

DROBNE OGŁOSZENIA po 3 halerze od wyrazu.

ZAŁĄCZNIKI do „Tygodnika Narodowego“ po 2 korony od 100 egzempl.

Ogłoszenia (płatne we Lwowie) przyjmują: Administracya „Tygodnika Narodowego“ we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5., oraz Biura ogłoszeń w kraju i za granicą.

Biuro Redakcyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11.

Biuro Administracyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5.

Rok 1901. Lwów, 4. lutego. Nr. 5.



TYGODNIK NARODOWY.

Redaktor: Klemens Kołakowski. Redakcya we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11., Administracya przy ul. Cichej l. 5.

Treść Nr. 5:

K. B.

Dobry początek.

W roku 1899, jak wiadomo, powstało we Lwowie Towarzystwo Kolonizacyjno-Handlowe, mające na celu ułatwienie kolonizacyi Parany przez Polaków. Towarzystwo to wysłało z początkiem grudnia roku zeszłego swego reprezentanta p. Zenona Lewandowskiego, doświadczonego kupca i przemysłowca, w celu nawiązania ściślejszych stosunków z rządem parańskim. P. Lewandowski znalazł szczerego i pilnego współpracownika w konsulu austryackim w Kurytybie, p. Pohlu, i po kilku miesiącach badania stosunków miejscowych uzyskał dla Towarzystwa Kolonizacyjno-Handlowego koncesyę od rządu parańskiego na utworzenie kolonii polskich na obszarze 50 tysięcy hektarów (100.000 morgów). Cena ziemi wynosi 2 milrejsy (80 kop.) za hektar, t. j. mniej więcej 40 kop. za morgę. Teren ten może być wybrany wedle życzenia kupującego w obrębie stanu Parana, zakoonizowany i spłacony w dwóch działach po 25 tysięcy hektarów. Termin zrealizowania przedsięwzięcia Towarzystwo określa na trzy lata.

Szczegółowy kosztorys nakładów, których Towarzystwo zamierza dokonać na tym skontraktowanym, lecz jeszcze nie spłaconym obszarze, tudzież warunków sprzedaży pojedyńczych parcel, nie nadaje się do publikacyi, jako kwestya tajemnicy handlowej, obowiązującej na rynku międzynarodowym. Możemy tylko powiedzieć, że Towarzystwo przewiduje *netto* — zysk ze sprzedaży jednej części zakupionego terenu (25.000 hektarów) na ogromną sumę 285.000 milrejsów. Cyfra ta *caeteris paribus*, nie powinna się wydawać za dużą wobec niskiej ceny kupna 2 milrejsów za hektar wówczas, gdy większe przestrzenie ziemi rząd parański dzisiaj sprzedaje po po cenie 4 milrejsów za hektar. Korzyści eksploatowania zakupionej ziemi mogą znacznie wzrosnąć przez to, że w środku musi powstać miasteczko, pod które grunta jeszcze po wyższej cenie będą odsprzedawane (300 do 6.000 milrejsów za hektar). Nadto pozostają jeszcze widoki na eksploatowanie skarbów mineralnych, siły wodnej i in.

Jak się dowiadujemy, rząd parański gotów był oddać Towarzystwu Kolonizacyjno-handlowemu obszar daleko większy, bo do miliona hektarów dochodzący. Tranzakcya jednak tymczasem nie mogła przyjść do skutku, ponieważ obecne fundusze Towarzystwa są jeszcze zbyt szczupłe a pozycya jego zbyt nieustalona, aby odważać się na przedsięwzięcie tak wielkie.

Kolonizacya polska w Paranie jest nader ułatwiona wskutek tego, że rząd miejscowy ocenia bardzo przychylnie zdolności kolonizacyjne Polaków, nieocenionych rolników i zabiegliwych pionierów. Z drugiej strone Brazylijczycy obawiają się kolonistów innych narodowości, za którymi niezadługo mogą się pojawić pretensye krajów rodzinnych do ziem, zaludnionych przez ich poddanych. Ostatnimi czasy rząd parański parokrotnie odmawiał koncesyi Towarzystwom zagranicznym, zwłaszcza włoskim. Niedawno pertraktował z nim agent rządu włoskiego, ekonomista Tonissi, lecz, o ile się zdaje, bezskutecznie. „Wiemy, że nas jest zamało do zaludnienia i obronienia Brazylii, lecz dla powiększenia liczby mieszkańców mogliśmy się zdecydować tylko na przyjęcie Polaków, których właściwości znamy od lat trzydziestu“ — tak miał powiedzieć o Polakach były prezydent parański.

Z tej korzystnej opinii Towarzystwo Kolonizacyjno-Handlowe powinno korzystać energicznie, dopóki zmienne fale polityczne i międzynarodowe nie przyniosą innych poglądów, mniej, lub może zgoła dla nas nieprzyjaznych. Jak widzimy, początek tej energicznej i zorganizowanej kolonizacyi wkrótce, zdaje się, zostanie zrobiony.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Ukonstytuowanie się Koła polskiego.

W przededniu otwarcia parlamentu zebrało się Koło polskie. we Wiedniu na obszerną dyskusyę polityczną, mającą być punktem wyjścia dla późniejszego postępowania naszej reprezentacyi.

Prezesem Koła wybrano ponownie p. Apolinarego Jaworskiego, który, dziękując za wybór, rozwinął zasady, jakiemi Koło podług jego przekonania, kierować się winno. Są to zasady następujące: Bezwzględne trwanie w odziedziczonej po ojcach wierze obok jak najdalej posuniętej tolerancyi dla innych wyznań. Niewzruszona wierność i przywiązanie do cesarza. Uruchomienie parlamentu, przyczem wszakże zwalczać trzeba wszelkie środki niekonstytucyjne, tak samo, jak z drugiej strony, obstrukcyę. Polityka wolnej ręki, przestrzegająca zawsze interesów państwowych, jakoteż interesów krajowych Galicyi. Jaworski wskazał następnie, że Koło wyszło z wyborów silniejsze, niż kiedykolwiek, co nakłada również wyższe obowiązki na posłów wobec wyborców i kraju.

Co się tyczy stosunku do rządu, to jest rzeczą gabinetu zjednać sobie zaufanie i poparcie klubu. Co do stosunku do innych stronnictw i grup parlamentarnych, Koło popierać będzie wszelkie słuszne i usprawiedliwione postulaty, nie wiążąc się atoli z żadnem stronnictwem na stałe. Koło będzie zawsze silne, jeśli pozostanie na zewnątrz jednolitem jak było niem dotąd.

Następnie postawił p. Roszkowski wniosek, ażeby wybrano komisyę celem obrad nad zmianą statutu Koła w następującym kierunku: Każdy członek Koła ma być uprawniony do wnoszenia w izbie

interpelacyj, jeżeli podpisze je 15 członków Koła; w kwestyach niepolitycznych, ma członkom Koła być przyznaną zupełnie wolność słowa.

Do tego wniosku zaproponował Romanowicz zmianę tej treści, że wymienioną wyżej ulgę we wnoszeniu interpelacyj, należy natychmiast uchwalić, o reszcie zaś wniosków, zmierzających do zmiany statutu, ma komisya zdać sprawę w ciągu dwóch tygodni.

Po dwugodzinnej dyskusyi uchwalono wybrać komisyę, która w ciągu 14 dni ma zdać sprawę ze wszystkich wniosków, dotyczących zmiany statutu Koła. Wybrani do niej pp.: prezes Koła Jaworski, Wojciech Dzieduszycki, Dawid Abrahamowicz, Romanowicz, Roszkowski, Jabłoński, Pastor, Potocki i Antoni Wodzicki.

Następnego dnia odbył się dalszy ciąg posiedzenia koła. Po wyborze Hr. W. Dzieduszyckiego wiceprezydentem Koła, poruszył Wł. Danielak sprawę upaństwowienia gimnazyum polskiego w Cieszynie, przyczem wystąpił przeciw p. Kozłowskiemu, zarzucając mu, iż jest przeciwnym upaństwowieniu tego gimnazyum, póki nie będzie pełne, t. j. nie będzie liczyło 8 klas.

P. Kozłowski energicznie odparł, iż nie mówił nic podobnego, jak mu w usta włożono. Wyraził tylko zdziwienie, że rząd wbrew słuszności i życzeniom Koła polskiego, nie chce tej sprawy załatwić póty, póki gimnazyum cieszyńskie nie będzie liczyło ośmiu klas. Skarżył się przytem na „Gwiazdkę cieszyńską, która nie zamieściła posłanego jej w tej sprawie sprostowania.

Koło uchwaliło wybrać dla tej sprawy komisyę, w skład której weszli pp. Michejda, Danielak, Rotter, Kozłowski, Cwikliński i Roszkowski.

Encyklika papieska.

Dnia 20 stycznia pojawiła się encyklika Ojca św. „O chrześcijańskiej demokracyi“. Rozdano ją wczoraj kardynałom, ambasadorom, oraz wielu wyższym dostojnikom St. Kuryi. Encyklika wypełnia broszurę o 20 stronach. Papież wspomina przedewszystkiem o dwóch poprzednich encyklikach, które zajmowały się kwestyą socyalną, mianowicie pt.: „*Quod apostoli muneris*“ i „*Rerum novarum*“. Stosownie do tych encyklik, katolicy poświęcili całą swą działalność czynom społecznym, aby nieść pomoc robotnikom. Papież wylicza wszystko to, co na tym polu uczyniono, więc założenie sekretaryatu robotniczego, kas rolniczych i kas oszczędności robotników różnych kategoryi.

Papież sądzi, że miano chrześcijańskiego socyalizmu nie jest odpowiedniem. Katolicy, którzy zajmują się kwestyą socyalną, zwykle bywają nazywani chrześciańskimi demokratami, ale i to nawet miano wywołuje u niektórych pewne niezadowolenie. Różnice, jakie w tym względzie tu i ówdzie nastąpiły, Ojciec św. chciałby obecnie usunąć. Trzeba pomiędzy socyalizmem a chrześcijańską demokracyą zrobić dokładną, dobitną różnicę. Pierwszy zajmuje się wyłącznie dobrem materyalnem i stara się osiągnąć zupełną równość i wspólność własności, chrześciańska demokracya zaś szanuje zasady ustaw boskich i starając się o polepszenie materyalnego losu, ma także na oku duchowe dobro narodów. Nie powinno się mięszać chrześcijańskiej demokracyi z demokracyą polityczną, bo pierwsza może i musi, tak jak kościół podciągać się pod różne formy rządu.

Chrześciańska demokracya musi oprócz tego szanować prawo władzy cywilnej. Taka chrześciańska demokracya, w ten sposób pojęta, nie wywołałaby nigdzie niezadowolenia. Istotna różnica musi być usunięta. Katolicy powinni się troszczyć o złagodzenie różnic socyalnych, o rozwiązanie kwestyi socyalnej i o poprawienie losu robotników.

Papież zachęca wszystkich katolików, aby w tym duchu działali. Jest rzeczą mniejszej wagi, czy taka akcya na korzyść robotników będzie się nazywała socyalną akcyą katolików, czy demokracyą chrześciańską. Najważniejszą rzeczą jest, aby wszyscy katolicy byli ze sobą w zgodzie i wszystkie swe siły poświęcili temu celowi.

Papież kończy napomnieniem katolików, aby trzymali się tych zasad i działając w ten sposób, unikali jednak charakteru rewolucyjnego, szanowali ustawy i starali się, aby wobec pracodawców był zawsze zachowany szacunek i poważanie i aby przestrzegane były praktyki religijne. W ten sposób osiągnie się na całym świecie pokój socyalny.

Pierwsza mowa króla Edwarda VII.

Urzędowe dzienniki angielskie ogłaszają dosłowny tekst przemówienia króla Edwarda VII do członków rady tajnej.

„Nigdy nie będę przemawiał do panów w okolicznościach smutniejszych. Przedewszystkiem mam smutny obowiązek zawiadomić panów o zgonie mojej najukochańszej matki, królowej. Wiem, jaki serdeczny współudział bierzecie wy panowie, bierze cały naród, a bez przesady mogę powiedzieć bierze świat cały w tej mojej niepowetowanej stracie, która nas wszystkich dotknęła. Nie potrzebuję niemal mówić, że zawsze będę się starał wstępować w jej ślady. Biorąc na siebie twarde i ciężkie zadania, jestem zdecydowany stanowczo być konstytucyjnym władzcą w najściślejszem słowa tego znaczeniu i działać aż do ostatniego tchnienia dla dobra i ustawicznego rozwoju mojego ludu. Postanowiłem przybrać imię Edwarda, które nosiło sześciu moich poprzedników. Tym sposobem nie lekceważę jednak imienia Alberta. Odziedziczyłem je po moim zawsze opłakiwanym, wielkim i mądrym ojcu, który znanym jest powszechnie jako Albert Dobry, lecz życzę sobie, aby to imię wyłącznie przy nim pozostało. Nakoniec daję wyraz ufności, że parlament i naród popierać mnie będą przy spełnianiu ciężkich obowiązków, które mi jako dziedzicowi tronu przypadły w udziale, a którym pragnę poświęcić wszystkie siły reszty dni żywota“.

Urzędowy dziennik dodaje, że lordowie tajnej rady państwa prosili króla, aby swoją enuncyacyę pozwolił ogłosić publicznie. Król rozkazał to uczynić.

Śmierć Hurki.

Feldmarszałek Hurko zmarł w swym majątku Sacharowo, w gub. Twerskiej.

Józef, syn Włodzimierza, Hurko urodził się w roku 1828. Pochodził z rodziny szlacheckiej polskiej, rzymsko-katolickiego wyznania, osiadłej na Białorusi. Wykształcenie wojskowe odebrał w petersburskim korpusie paziów, gdzie przeszedł na prawosławie, mając lat 17. W r. 1846 wstąpił do wojska jako kornet huzarów, a w r. 1852 był już kapitanem piechoty i jako taki odbył kompanię krymską. W r. 1860 został fligeladjutantem cesarza Aleksandra II, a w rok później pułkownikiem. Po wzięciu „chlubnego udziału w zgnieceniu polskiego powstania w r. 1863“ mianowany został dowódcą pułku huzarów, a w cztery lata później generał-majorem. Awansując szybko, został przy wybuchu wojny turecko-rosyjskiej w r. 1877 dowódcą oddzielnego korpusu kawaleryi, tworzącego straż przednią całej armii rosyjskiej, kroczącej ku Bałkanowi. Wtedy odznaczył się sforsowaniem górskich przejść i dotarł do Adryanopola, zapewniając armii rosyjskiej posiadanie wąwozu Szypki.

Po wojnie mianowano go generał-gubernatorem Petersburga w r. 1878, generała kawaleryi. Gdy nihilistom udał się zamach na życie cara Aleksandra II w r. 1881, jego następca przeniósł go w stan rozporządzalności. Jednakowoż niezadługo, bo w r. 1883, car Aleksander III powołał go na stanowisko generał-gubernatora warszawskiego, na którem pozostawał aż do r. 1894. Feldmarszałkiem mianował go w nagrodę zasług obecny car Mikołaj II. Odznaczał się on na tem stanowisku jako „perekińczyk“ dziką nienawiścią do wszystkiego, co było polskiem, chcąc w ten sposób zatrzeć pamięć wypadków petersburskich. Sekundowała mu w tem jego żona Marya Andrejewna, znana ze złego życia i grabieży, jakie popełniała w byłym zamku królewskim w Warszawie i u wszystkich bogatszych kupców warszawskich, którym nie płaciła rachunków z zasady. Syn jego, aresztowany za rozbój we Francyi, odebrał sobie życie w więzieniu.

Układy pokojowe.

O posiedzeniu ciała dyplomatycznego, które się odbyło w Pekinie, w apartamentach posła angielskiego, Sotowa, nadeszły bliższe szczegóły. Zgodzono się jednomyślnie, że rząd chiński mylnie tłómaczy 12 artykuł noty, skoro żąda w swojem memorandum, aby wojska sprzymierzone cofnięte zostały z Pekinu i prowincyi Czili, skoroby Chiny wypełniły i podpisały umowę z mocarstwami. Posłowie postanowili zawiadomić rząd chiński, że wojska absolutnie cofnięte nie zostaną, dopóki warunki nie będą spełnione ku zadowoleniu mocarstw. Nadto żądano, aby rząd chiński ogłosił wskazane w nocie edykty i wykonał zanotowane tam wyroki śmierci. Niektórzy dyplomaci otrzymali ścisłą instrukcyę, aby stanowczo żądali kary śmierci na pewne osobistości, inni w tym względzie mają zupełną swobodę. Co do wykonania kary śmierci na księciu — posłowie jeszcze nie doszli do porozumienia.

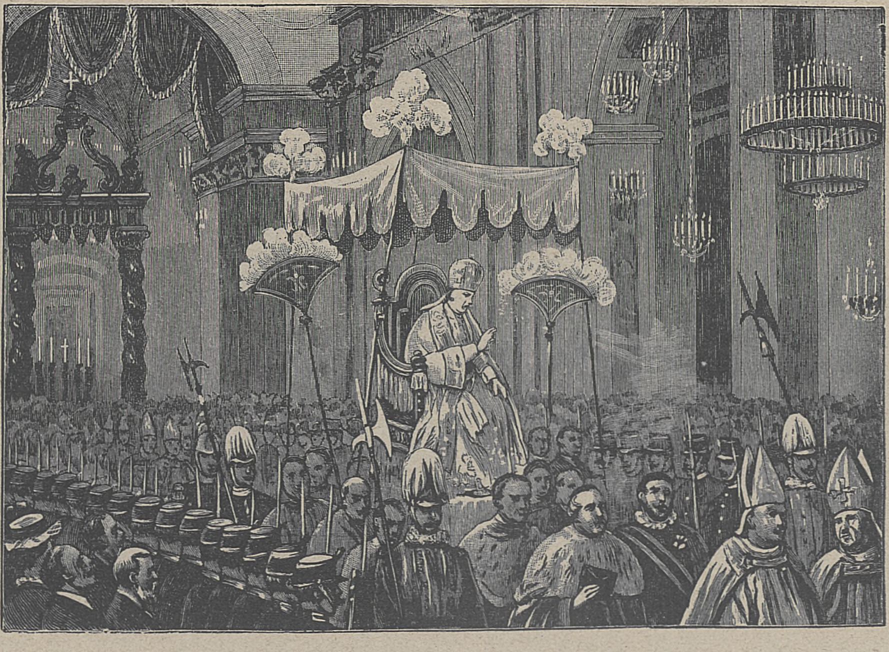
Wśród życzeń, które pełnomocnicy Chin przedłożyli reprezentantom mocarstw przy wręczeniu znanego memorandum — znajdował się ustęp, domagający się pozwolenia Chinom odbudowania fortów Taku po pięciu latach od zawarcia pokoju.

A. Cz.

Z Pragi czeskiej.

(Pamięci Bronisława Grabowskiego. — Cyprjan Godebski w Pradze. — Konkurs na pomnik J. Hussa. — Zwycięstwo czeskiej sztuki w Wiedniu.)

Przedwczesny skon serdecznego przyjaciela naszego narodu, ś. p. prof. Bronisława Grabowskiego, wywarł głębokie wrażenie w całem społeczeństwie czeskiem. Jeszcze w czasie choroby nieodżałowanego przedstawiciela myśli łączności polsko-czeskiej, gazety praskie i prowincyonalne przynosiły wiadomości o stanie zdrowia naszego przyjaciela; mnóstwo pozdrowień i wyrazów współczucia, przesyłanych zacnemu choremu i jego żonie przez wybitne osoby i korporacye, było dowodem, jaką popularnością i szacunkiem cieszył się ś. p. B. Grabowski u narodu czeskiego. Gdy w wigilję Bożego Narodzenia nadeszła telegraficzna wieść o skonie naszego przyjaciela, rozniosła się wiadomość o tem jeszcze tegoż samego dnia po Pradze. Nazajutrz wszystkie gazety pragskie podały smutną tę nowinę wraz z nekrologami, wdzięcznie wspominającemi wielkie zasługi zmarłego, oraz przesyłającemi do dalekiego Pinczowa serdecznym żalem przesiąknięte ostatnie pożegnanie. Jedyny nasz tygodnik illustrowany, *Zlata Praha*, dał duży portret nieboszczyka, do którego wspomnienie pośmiertlne dołączył A. Czerny. „Nie pojawi się więc już wśród nas, nie przyjedzie więcej do naszej Pragi, którą tak kochał i z którą jeszcze w lecie przyjechał pożegnać się... Myśl literackiej wzajemności polsko-czeskiej traci w nim głównego polskiego przedstawiciela, który jej był oddany z zaparciem swojego zacnego serca. Jak wielkiego przyjaciela w nim tracimy, pokazuje jego cała działalność i wiedzą ci, którzy się z nim bliżej spotykali i poznali jego zapał". Tak czytamy w *Złotej Pradze*, gdzie autor wspomnienia wyraża życzenie, ażeby zostały zebrane i razem wydane liczne artykuły zmarłego, dotyczące rzeczy czeskich, oraz tłumaczenia jego czeskich poetów; takie wydanie zbiorowe bardzoby się przyczyniło do rozpowszechnienia znajomości rzeczy czeskich i literatury czeskiej u Polaków, takie wydanie byłoby niewątpliwie najlepszym pomnikiem dla serdecznego przyjaciela Czechów. Portret ś. p. Grabowskiego przyniósł także (jeszcze w czasie choroby jego) codzienny *Kurjer illustrowany*, wychodzący w Pradze. W tygodniku literackim *Zwon* (Dzwon), wydawanym przez starszych literatów, poświęcił zmarłemu piękne wspomnienie p. Franciszek Kvapil. „Teraz, kiedyśmy go stracili, dopiero wiemy i czujemy, jak nam był blizkim i drogim", pisze tłumacz Asnyka. Rzeczywiście — tak blizkim i drogim, jak był Edward Jelinek dla Polaków... I straciliśmy go właśnie w czasie, gdy oczekiwaliśmy od niego nowych czynów; na krótko przed jego chorobą przyniosły nasze pisma wiadomość o drukującem się zbiorowem wydaniu tłumaczeń poezyi Vrchlickiego pióra B. Grabowskiego. Zaraz po tej pocieszającej wiadomości nadeszła niepokojąca wieść o chorobie Grabowskiego, o ubezwładnieniu ręki, która tak doskonale tłumaczyła wiersze naszego pierwszego poety, — a po miesiącu dowiedział się ogół czeski, że przyjaciel jego nie żyje... Pamięć, którą u nas zachował, jest jasna i trwała. Kochał Czechów bardzo, naród czeski będzie go zawsze wdzięcznie wspominał.



Błogosławieństwo Ojca św. Leona XIII. na wiek XX.

W zeszłym tygodniu bawił w Pradze twórca warszawskiego pomnika Adama Mickiewicza, p. Cypryan Godebski. Zaproszono go na członka koła konkursowego, które miało rozpatrzyć projekty konkursu na pomnik wielkiego reformatora czeskiego, Jana Husa. Godebski oddał nam wielką przysługę, puszczając się w daleką podróż z Florencyi do Pragi w czasie największych mrozów, co z najwyższą wdzięcznością podkreślić należy. To też w Pradze przyjmowano go serdecznie i z uszanowaniem. Gość zwiedził teatr narodowy, był na koncercie słowiańskim i naturalnie oglądał znakomitości miasta. Poseł Bielski wydał wieczorek na cześć gościa w swoim domu, przed wyjazdem zaś odbył się bardzo serdeczny bankiet pożegnalny w ogrodzie zimowym hotelu saskiego. W sobotę 12-go stycznia wyjechał p. Godebski z Pragi, obiecując przyjechać na wiosnę z rodziną.

Projektów na pomnik Husa nadeszło 23; jako najlepszy uznano projekt młodego rzeźbiarza Szalouna, oraz budowniczego Pfeifra. P. Godebski bardzo pochlebnie wyraził się o tym projekcie jeszcze przed zebraniem jury, w dzień swojego przyjazdu; powiedział, że się nie spodziewał, iż taki talent w Pradze się znajdzie. W ogóle zdumiewające wrażenie wywarł na niego rozwój czeskiej sztuki pięknej. Wyraził życzenie poznania autora projektu, te też zaraz po spisaniu protokółu z wyroku „jury" zaproszono obu młodych laureatów do hotelu saskiego, gdzie przy bankiecie pożegnalnym siedział p. Szaloun obok p. Godebskiego.

Pomnik Husa według projektu nagrodzonego jeszcze nie zaraz stanie; niewiadomo bowiem, czy komitet wypowie się ostatecznie za wzniesieniem pomnika na wielkim rynku staromiejskim, czy na małym placu Betleemskim, gdzie stała kaplica, w której Jan Hus był kaznodzieją. Na rynku staromiejskim mianowicie stoi kolumna marjańska, wzniesiona tu w czasie przeciw reformacyi na miejscu, gdzie w r. 1621 ścięto 27-u panów czeskich, głównych uczestników nieszczęśliwego powstania czeskiego na początku wojny 30-toletniej. Godebski jest za placem Betleemskim.

Sztuka czeska święciła zwycięzki wjazd do Wiednia, podobnie jak przed kilku laty czeska muzyka, resp. opery Smetany. Towarzystwo „Manes" mianowicie przeniosło swoją październikową wystawę obrazów i rzeźb do Wiednia, gdzie wystawione dzieła sztuki czeskiej, wywołały w prasie i publice ogromne zdumienie. Drogę Towarzystwu utorowały wystawy obrazów Uprki, Sochora, oraz Radimskiego, którym krytyka wiedeńska oddała największe pochwały. Wystawę odwiedził cesarz, krytyka zaś prawie bez wyjątku uznała istnienie samoistnej sztuki czeskiej, stojącej na wysokim bardzo stopniu i zdumiewającej liczbą niepospolitych talentów. Największe zajęcie budziły rzeźby młodego (28-mioletniego)rzeźbiarza, głębokiego estetyka, Franciszka Bilka, którego „Kalwarya" oraz olbrzymi, z drzewa rzeźbiony, krucyfiks, wywarły ogromne wrażenie. „Niedługo będzie przed imieniem tego młodzieńca pochylał głowę cały szeroki świat", pisze *Die Zeit*. Tak więc za muzyką czeską idą zaszczytnie w świat czeskie sztuki plastyczne; teraz kolej na literaturę. I na tę przyjdzie czas!

Poznawajmy się.

Dwór szlachcica rosyjskiego w pierwszej połowie XIX wieku.

(Ustęp z pamiętników I. M. Niewierowa.)

Niedawno ex-profesor uniwersytetu warszawskiego, Kariejew, świeży współpracownik niektórych pism polskich, ubolewał trochę po bizantyńsku, że nieznamy się i, jakkolwiek historyk, twierdził naiwnie, jak poeta, że poznanie się wzajemne pozwoli nam wynaleść modus virendi. Inicyatywa czynu i myśli wychodzi wprawdzie zawsze od jednostek, ale szczytem naiwności jest twierdzenie i wiara, że wzajemne poznawanie się, w warunkach państwowych niemożności poznawania się, wskaże nam jakieś drogi do wspólnego życia. Przedewszystkiem my, jako naród i państwo, żyliśmy tysiąc lat życiem własnem, samoistnem i takiego życia nie przestaliśmy pragnąć, a następnie: jeżeli p. Kariejew raczy nam przyjść z pomocą, nie do nas niech się uda, lecz do rządu swego w Petersburgu z żądaniem dla nas prawa i sprawiedliwości. Jeżeli stamtąd wyjdą projekty i podstawy do „porozumienia się", a wolno będzie radzić bez obawy przesiadywania w fortecy, lub „porozumiewania się" w ssyłce—wówczas pogadamy otwarcie.

W obecnej chwili tak, jak rzeczy stoją, stokroć nas więcej interesują prądy samokształcenia się wśród młodzieży polskiej, o czem, niestety, mało pisma nasze piszą. Moskale mają swoją drogę życia, my swoją. Wiemy z doświadczenia, że z młodzieży rosyjskiej, bardzo liberalnej i ożywionej prądami cywilizacyjnemi, wyrastają nasi ciemięzcy. Wielkie hasła oświaty i sprawiedliwości głoszą oni i mają dla domowego użytku, a do nas stosują — tatarską nahajkę i własnego pomysłu więzienia. Wszelkie porozumiewanie się na polsko-moskiewskich bankietach, jest to zabawa lisa z owieczkami, bardzo niebezpieczna. Jeżeli polityka lisia jest wstrętną przy rozumie i zręczności, to polityka barania jest godną litości, gdy szuka modus vivendi tam, gdzie - o wełnę tylko chodzi...

Na ogół biorąc, naród polski mało interesuje się całym kulturalnym rozwojem Rosyi, bo nie stamtąd idzie światło cywilizacyi; główniejsze zaś prądy i wybitniejszych pisarzy znamy, bo znać musimy i możemy.

Ważniejsze jest jednak dla nas poznanie ducha rosyjskiej kultury w głębi azyatyckiej, a po wierzchu — europejskiej. I w tym wypadku właśnie idziemy za radą p. Kariejewa.

Dajemy czytelnikom naszym ustęp z pamiętnika J. M. Niewierowa. Jest on wymownym dowodem że Rosya może być potężnem państwem, lecz nie może być państwem cywilizowanem, gdyż czynniki moralne, składające dzisiejsze społeczeństwo rosyjskie, nie przetwarzają się tak rychło, jak potęga państwowa.

Kartka ta pełna dzikości, grozy i barbarzyństwa, a wycięta z czasów prawie najnowszych, bo z lat poprzedzających pówstanie roku 1863, nie jest odosobionym pamfletem, obrazem satyryka lub wymysłem powieściopisarza, lecz cząstką życia, zaobserwowaną przez człowieka, który śród tej sfery żył i na nią patrzył, jest zbiorem faktów i dokumentów historycznych. Niech przeto służy do użytku politycznego — naszym historykom.

Niewierow był jednym z najwykształceńszych ludzi Rosyi i kuratorem okręgu naukowego Kaukakniego aż do r. 1879

Niech polski czytelnik będzie pobłażliwym dla wyrażeń i rzeczy tu podniesionych, pomimo że one obrażają wszelkie ludzkie uczucia, a pamięta o tem tylko, że ma przed sobą obraz życia i obyczajów narodu, w którego ręce los złożył panowanie nad nami. Synowie przedstawionych tu ojców rządzą nami dotychczas.

St. Wig.

„Piotr Aleksiejewicz Koszkarow, krzepki staruszek, w czasie mego pobytu we wsi Weriakuszi mógł mieć około lat 70 ciu. On nigdy nie był żonaty. Z żoną prostego sołdata Natalją Iwanówną miał jedną córkę i siedmiu synów. Natalja, jakkolwiek mieszkała w jego domu i otoczoną była pewnym szacunkiem ze strony domowników i obywateli z sąsiedztwa, odwiedzających starca, lecz nie miała żadnego wpływu nietylko na Koszkarowa i jego interesy, lecz nawet na dzieci swoje. Miała ona osobną izbę, swoją własną usługę i zjawiała się na salonach, jak osoba honorowa w domu, lecz obca zupełnie wszystkiemu co się około niej działo. Dzieci jej miały inne nazwisko, S..., a synowie kształcili się potrosze w domu, poduczywszy się zaś nieco, szli do wojska — z wyjątkiem jednego, który w Rybińsku był czemś podobnym do wiernika w składach gorzałki. Oni często przyjeżdżali do rodziców i mieszkali w Weriakuszach. Oprócz owych siedmiu osób, do składu rodziny zaliczał się jeszcze pułkownik Korsakow, który w dzieciństwie, jako syn zubożały obywatelski z sąsiedztwa, zapoznał się z rodziną Koszkarowa, chował się wspólnie i razem do wojska z młodymi Kaszkarowymi poszegł.

Z tego powodu uchodził, jakby za członka rodziny. Następnie ożenił się z kuzynką Piotra Aleksiejewicza, córką z nieprawegoł oża Hawryły Aleksiejewicza Koszkarowa, posiadającego majątek o 10 wiorst od Weriakusz. Hawryło Aleksiejewicz także nigdy nie był żonaty, a matka jego córki odgrywała w domu zupełnie taką rolę, jak Natalja Iwanówna, t. j. była tytularną panią domu. Po pewnym czasie Hawryło Aleksiejewicz znalazł sobie inną, młodszą kochankę i zainstalował ją w domu, z czego wynikła awantura między nim a Korsakowym, który stanął w obronie matki swej żony.

Wieś Weriakuszi leży o półtory wiorsty od drogi pocztowej, wiodącej z Arzamasa do Tambowa, a o 6 wiorst od stacyi pocztowej Oriechowiec. Posiadała ona około 200 chat, które wieńcem prawie otaczały dość wielki staw; przy brzegu stała niemiecka drewniana cerkiewka, a tuż przy niej sadyba właściciela: obszerny, drewniany dom, otoczony licznemi zabudowaniami gospodarskiemi: kuchnią, izbą czeladną, magazynami i t. p. Z drugiej strony stawu był inny jeszcze dom mieszkalny, zupełnie nowy, przeznaczony dla Natalii Iwanówny, lecz zwykle stał pustką, tylko niekiedy rozmieszczano tam gości. Wogóle służył on miejscem wycieczek spacerowych całej rodziny, był wykwintnie umeblowany i ozdobiony portretami familijnemi.

Polityka gospodarcza Kaszkarowa polegała na tem, że majątek rodowy uważał on za nietykalną własność swoją, którą sam się rozporządzał, majętności zaś nabyte, jako własność dzieci, zostawały pod zarządem Natalii Iwawówny. Ona posiadała własną krowę, własne gospodarstwo, azatem i tak zwany nowy dom był w jej zupełnem władaniu. Oprócz domu, kasy i t. d. byli także chłopi, kupieni na własność synów Sz... W jaki sposób synowie Koszkarowa nosili nazwisko Sz... nie umiem powiedzieć, to tylko wiem, że Natalja Iwanówna do śmierci podpisywała się „Sołdatka Natalja Iwanowa". Działo się wówczas tak, że pomieszczyk, mający dzieci z nieprawego łoża, opłacał jakiego chudopachołka „dworzanina", który pozwalał popowi zapisywać na jego rachunek cudzy przypłodek, a w ten sposób mnożyła się prawdziwa szlachta rosyjska

Koszkarow sam prowadził gospodarstwo przy pomocy swego quasi sekretarza Feokisty Siemionówny, dziewczyny w srednim wieku, bardzo ładnej, rezolutnej i rozsądnej, której matka była naczelnicą haremu Koszkarowa. Feokista otrzymała wykształcenie w Weriakuszach, prowadziła całą korespondencyę pryncypała, jego rachunki, była osobą dość oczytaną i nieźle grywała na fortepianie. Była to, według powagi, trzecia osoba w domu, posiadała prawa członka rodziny, to znaczy, że bywała w salonie, przyjmowała wizyty, oddawała je, słowem — była jakgdyby drugą panią domu. Jedni mieli ją także za córkę Koszkarowa, drudzy uważali za zastępczynię Natalii Iwanówny, która oddawna już utraciła swoje prawa matrymonialne, a w domu była osobą bierną, jako matka dzieci „pomieszczika". Feokista, jako czynny rządca domu, zawsze prawie była w towarzystwie Koszkarowa, pełniąc obok urzędu sekretarza, także urząd lektorki, do czego należało również grywanie na fortepianie dla uprzyjemnienia czasu gospodarzowi.

Pomimo obszerności gospodarstwa, prowadzono je dość dobrze, a chłopi byli wcale zadowoleni i odznaczali się nawet względnym dobrobytem. Nawet powinność tego rodzaju, że jeśli w której rodzinie urodziła się piękna córka, obowiązani byli oddawać ją do haremu dworskiego, nie tylko nie wywoływała oburzenia lecz przeciwnie, radzi byli, gdyż łączyła się z łaską pańską, pod formą większego nadziału ziemi i innemi dogodnościami.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Anna Neumanowa.

MINOROWE AKORDY.

Słyszę piór szelest — wiatr go w dal rozwiewa,
Niesie przez zimne i ciężkie mgły;
To ptak zlękniony na skielecie drzewa
Usiadł samotny — przed jutrem drży.

Od nagich borów szum dochodzi głuchy,
Chłód zimy pije zastygły staw,
Ziemia, jak więzień, potrząsa łańcuchy
Z chrzęstem zamarłych liści i traw.

Jutro! Czy wiecie, co to jutro znaczy?
Jutro to straszliwej zawiei ryk,
To w ciemnych nocach harpija rozpaczy
Zgłodniałych piersi przedśmiertny krzyk.

Jutro! — to rządza z oczyma krwawemi,
Jęk, co o Boży uderzy tron,
To na skostniałej, nielitosnej ziemi
Bezdomny skon...

Adolf Neuwert-Nowaczyński.

TUBALKAIN.

(Dokończenie).

GROTESKA.

Na małem podwórku, zamkniętem z czterech stron niebotycznemi ścianami, których brudną monotonię kóciły tylko setki brudnych okien pod małym prowizorycznym daszkiem, stała Cyranki prowizoryczna pracownia, a na środku niej wielki, skonstruowany ze starego powozu samochód, dla którego właśnie od 10 lat dorabiał Żorz Cyranka, mistrz swego wynalazku, swego „patentu“.

Dziewczęta służebne z trzech piąter trzepały trzcinami spłowiałe dywany burżuazyjne, zupełnie głuchy kataryniarz kręcił korbą, aby z instrumentu szło coś, co mogło kiedyś być jakimkolwiek walcem, szewc bił w kopyta, ślusarzowa waliła plecy lekkomyślnej córeczce, ubierającej się z tajemniczym a modnym przepychem, słowem, gwar i hałas podwórzowy, dość zresztą popularny i nie ciekawy, stanowił tło dla nadludzkich wysiłków technologicznych Żorza, który całemi godzinami dłubał przy swoich blaszkach, drucikach, sprężynach, kółkach, kociołkach, paskach transmisyjnych, blaszanych rezezwoarach, manometrach, termometrach, paląc przytem dość drogie „sygary“ z srebrnym paskiem na brzuszku. Dłubał, kręcił, wiercił, toczył, ciął, krajał, palił, maszynka fuczała, syczała, jęczała, piszczała, dym szedł kręconymi czarnymi festonami z pod daszku, od czasu do czasu coś trzasło, coś pękło, coś się złamało, coś wybuchło, a tylko cztery koła samochodu stały z niewzruszonym spokojem i kamienną powagą nie wróżące ani jednego obrotu naprzód, ani jednego cofnięcia się w tył; tak bowiem ciężkie było pudło olbrzymiego powozu, dawnej własności krociowego rzeźnika, że nawet lotna pomysłowość genialnego Cyranka nie zdołała kółek cośkolwieczek wysadzić z stanu nieubłagalnej równowagi statycznej.

...Żebyś tak jeszcze i sto wieków nad paskudztwem „się fiertolił“, przesadzała w pojęciach czasu bogata praczka-żona, tobyś i tak nic nie „skurał“.

...Zamknij twarz stara brytwanno! cedził przez cygaro starzejący się już mocno Żorz, nie odwracając nawet łysej głowy ku oknu parteru, w którem dzierżąc w ręku amerykańskie żelazko do prasowania przepędzała pani Kalikstowa 25 rok jubileuszowy opierania mieszkańców ulicy, słusznie dla swego lombardu Hożą zwanej.

...Marnujesz tylko czas i pieniądze „bencwale jeden“ i myślisz geometro głupi, że bez koni będzie ci jechało, mówiła z okna.

...Ażebyś se pamiętała poczwaro, że jak jest talent iskry Bożej, to i tak pojedzie bez żadnych koni, ino przez benzynę, albo i kamfinę, a może i bez nitroglicerynę z salmiakiem podwójnego potasu i kwas wodorowy z aliażem anorganicznym, a może i u ha em es o cztery — łgał bezczelnie, imponując zebranym jak zawsze koło samochodu dzieciakom, stróżowi, kataryniarzowi, handełesom i lekkomyślnej ślusarzównie, ubierającej się z modnym, a tajemniczym przepychem.

...Głupiś ty cały z twoim organowym kwasem, prędzej ja się na cmentarz powlekę ze zgryzoty, żeś taki stary hycel, zanim ty gdzie zajedziesz na tej maszynce dyabelskiej, mówiła do okna z za obłoków pary, buchającej z olbrzymich balii.

...A powlecz się wielbłądzie jednogarbny, powlecz!

Takie i tym podobne dyalogi toczyły się długie czasy między małżonkami Cyrankami, wnosząc niesłychany humor między wszystkich mieszkańców oficyn, potęgując nigdy kłamaną wesołość dzieci pana dyrektora banku z pierwszego piętra i rozweselając smutnych.

Filozof z trzeciego piętra, palący tytoń w długim, sięgającym pierwszego piętra cybuchu, uśmiechał się tylko i to silnie złośliwie i pluł od czasu do czasu na dół, starając się zawsze przez dziurę wielką w daszku pracowni technologicznej trafić na „ponsowe“ aksamitne siedzenie samochodu niechodzącego; był bowiem więcej sceptykiem niż filozofem.

Malarze z czwartego piętra, rzadko co prawda ranki przepędzali w swych pracowniach, ze względu, że jak się wyrażali „słońce ścierwo w południe bywa wściekle zimne i brudne w kolorze“, ale gdy tylko przypadkowo byli w domu, to już i nie omieszkali nigdy wylewać na dół bardzo brudnej wody z miednic i też nieczystości, wzywając zwykle filozofa z 3 piętra aby łapał, a pana Cyranka, aby się rozbierał, „bo idzie tusz“.

Granka klął, filozof cofał głowę do swego pokoju, a za nią wciągnął i niebywałej długości cybuch: był bowiem więcej sybarytą, niż sceptykiem, aż pewnego dnia spuszczono filozofowi na sznureczku kartkę, gdzie czarne na białem stało napisane: Filozofowi „kupa-męci:“ (dosłownie)

Próżno się „Schwabska“ chlubią swoim Kantem
I wciąży piszą o Nietschem,
Wszak i my „umim“ wszystko puszczas kantem
Filozofować o niczem, no nie ty, Arcybuchu!...

a równocześnie cały brukowany podwórzec zasypano różnokolorowemi, pstremi karteczkami, cennikami i reklamami wszystkich możliwych firm światowych fabrykujących rowery, trycykle tandemy, automobile o wszystkich możliwych motorach, z wyjątkiem motoru poruszanego „nitrogliceryną i salmiakiem podwójnego potasu i kwasu i t d...“

Dorastające dzieci bogatej praczki i ojców, którychby i z paczką świec steary-

nowych doszukać się było trudno, zbierały wesoło i skrzętnie przepiękne, malowane czasem anonse, na ślicznym, czasem pergaminowym papierze. Ale sam pan Żorż z początku doprowadzony do spienionych ataków pasyi, następnie, jakby zawstydzony i zgnębiony, cofnął się do swoich apartamentów za baliami kochanej żoneczki i dziwnie zasmucony i zgorzkniały zapalił dobre cygaro i kazał sobie ugotować czekolady, byle z jajkiem, albo z dwoma jajkami, byle wnet, swoją drogą anonse i reklamy skrzętnie od bębnów pozbierał i jak wieść niesie, zamknąwszy się na klucz, przez cały dzień i noc nad niemi studyował. martwiąc się, gryząc w duszy, chrapiąc przez sen przy lampie, to znowu chrupiąc jabłka i gruszki, które suszyły się na szafie... jak zwykle jabłka się suszą.

Na drugi dzień, trzeci i następne znikł gdzieś pan Granka z domu pod l. 0.5 przy ulicy Śmiesznej, wziąwszy poprzednio jak najwięcej gotówki z komody, mimo bardzo zdecydowanego, jaskrawego oporu pani Żorżowej; po trzech dniach wrócił, aby nad wynalazkiem oddać się z podwójnym zapałem. Dzieciska, jak zawsze, otaczały go rojem, wyrywając mu z pod rąk świdry, pilniki, heble, śrubsztaki itp. Rącze konie dyrektora banku, stojące na stajni przy podwórzu, parskały radośnie nozdrzami, jakby chciały troszkę podśmiewać się z człowieka, który pracuje na podwórzu nad wynalezieniem czegoś, coby je całkowicie zastąpiło; ośem fortepianów w kamienicy grało równocześnie rozmaite melodye pod rączkami bladych dziewic o długich pracowitych paluszkach, a pan Granka już spocony i jakby zdeterminowany, klął, zaklinał, przeklinał, aż wreszcie...

Pewnego dnia przednia para kół z okropnym, nieludzkim zgrzytem zaczęła się dość prędko obracać i z niespodziewanym rozpędem pociągnęła za robą arkę Noego Granka i drugą parę kół z gromadką dziecisków. Pociągnęła, z hukiem przebiegła całe podwórze i z trzaskiem uderzyła o ścianę przeciwległą; Granka tylko ryknął z radości i tryumfu, popatrzył z bezbrzeżną pychą w okna pralni i pomknął za gotowym automobilem, aby go wstrzymać w szalonym rozpędzie. Przód pudła powozowego był dosłownie strzaskany, motor znacznie zepsuty, ale reparacya okazała się możliwą i trwała... pół roku.

Dyrektor banku przez ten czas już i wyprowadził się. Na pierwszem piętrze zamieszkała wdowa po znakomitym garbarzu, kilku malarzy wyprowadziło się, kilku nowych wprowadziło; tosamo działo się z poetami, którzy przez ten czas zostali już naszymi znanymi, poczem cenionymi, poczem znakomitymi. Jeden z nich tylko, niestety, nie doczekał się poczciwej nieśmiertelności, gdyż dostawszy obrzydliwej megalomanii (obok galopujących suchot fantazyi z kieszeni) gryzł wszystkich ludzi z otoczenia, wskutek czego do szpitala przy tej samej ulicy Karnawałowej czy Weselnej musiał być odwiezion i wrzucon do oddziału, gdzie panuje płacz i zgrzytanie zębów aż do... znudzenia.

Wreszcie obie pary kół pewnego dnia pogodnego zaczęły się szybko poruszać, ale powóz nie wyszedł jeszcze z równowagi, gdyż pierwsza para obracała się gwałtownie .naprzód, a druga para w tył i w ten sposób obie pary paraliżowały wzajemnie swoje tendencye ku lokomocyi.

Upłynęło znów wiele dni podobnych do siebie, jak tylko poczciwi reporterowie mogą być w swym stylu podobni do siebie, aż wreszcie pewnego razu (także pogodnego) obie pary ruszyły kilka kroków naprzód i dopiero na środku podwórza nastąpił ogłuszający, straszny wybuch benzyny, więzionej w miedzianym walcu. Rezerwoar pękł, filozofowi z trzeciego piętra wypadł cybuch z ust, wpadł prościuteńko do otworu kanału a wyprowadzona z cierpliwości pani Kalikstowa powracającemu do mieszkania staremu Żorżowi wylała na głowę nibyto przypadkiem cebrzyczek pełny białych, puszystych, pianko- wych mydlin.

Upłynęło znów wiele tygodni podobnych do siebie tak, jak to sobie z trudem tylko wyobrazić można, aż wreszcie żółto lakierowany, olbrzymi automobil pomysłu Georga Grankiewicza z pośród przelicznej gawiedzi „bez sień wyjechał na bramę“, jak się z tryumfem wyrażano.

Na tyle grubemi literami stało pisane: „Amorosissima“, tyłuł, czy pseudonizm automobilu, tak radził gruby pękaty malarz „scen deserowych“, który w ostatnich czasach zaprzyjaźnił się serdecznie z Granką.

Sam nawet malarz deserowy lakierował cały automobil i napis: „Amorosissima“, za co dostał cztery razy tyle monety, co za zeszłego roku sprzedany cykl obrazów fantastycznych pod napisem: „Człowiek i miłość“.

Ten to pękaty malarz i filozof z trzeciego piętra wsiedli z Granką i z zuchwałą śmiałością w automobil i wśród rozpasanych okrzyków, gwizdów gawiedzi, płaczu dzieci, obelg rodziny Granków wyruszyli w świat; córki lekkomyślnej ślusarza niechciano zabrać ze sobą, mimo jej przepyszny kapelusz rembrandttowski z czarnemi i zielonemi piórami i mimo jej prośby i płacze.

Tegoż dnia nad wieczorem hałaśliwy wóz towarzystwa ratunkowego odwiózł do domu przy ulicy Weselnej trzech panów, którzy wziąwszy na drogę cylindry i cygara zapomnieli przedtem zaasekurować się na życie i spisać ostatnie swe wole. W godzinę później kilku pijanych jak zwykle, posługaczy publicznych przytoczyło na dziedziniec „Amorosissimę“ potłuczoną i pogruchotaną, zażądało zapłaty, wzięło zapłatę i poszło pić w dalszym ciągu. W dwie godziny potem doktór z dwoma cyrulikami w niczem niepodobnymi do słynnego konowała z Sewili, porobił kilka szczęśliwych operacyj i amputacyj, mimo które żaden z operowanych wyjątkowo nie umarł; w trzy godziny zaś urzędnik pocztowy stanął w progach pralni i przerażonej, ogłuszonej i powiedzmy sobie wreszcie, osłupiałej pani Kalikstowej oświadczył kategorycznie, że „Amorosissima“ musi być przemalowana kolor inny, gdyż kolor żółty jest wyłącznie herbowym kolorem poczt i telegrafów, a urzędy te z waryatami nie chcą mieć nic wspólnego, a publiczności w błąd wprowadzić nie dadzą. Satis. Upłynęło kilka miesięcy, podobnych do siebie tak, że to trudno plastycznie określić. Amorosissimia naprawiona, pomalowana na zielono i przechrzczona na „Atlantydę“, wedle rady pękatego malarza, wyjechała ku niesłychanej radości zebranej gawiedzi na szeroki swiat, wioząc jak ongis, trzech panów w cylindrach, ale już i córkę lekkomyślną ślusarza, która od rodziców przeprowadziła się na front na drugie piętro do mieszkania profesora uniwersytetu, co to ongiś, poślubiwszy posag wielki, napisał dzieło znakomite: O nędzy, zgasił świecę i umarł.

Po kilku godzinach powróciło towarzystwo zdrowe i wesołe, tylko filozof troszkę zwichnął sobie lewą nogę, malarz nadłamał prawej ręki (którą przeważnie malował II. cykl. „Smierci i człowieka, czy coś w tym sensie), panna Korynna (recte Franka) zgubiła kapelusz, parasolkę, torebkę, broszkę i coś z kluczyków. Granka ostał się zdrów i cały. Funkcyonaryusz urzędu ....owego w godzinę potem przybyły, zażądał natychmiastowego przemalowania „tego błazeństwa“ na kolor inny, gdyż urząd ten i t. d. i publiczności w błąd wprowadzać nie może. Racya.

Wskutek czego Atlantydę przemalowano na kolor brutalnie pessymistyczny; tak rozpaczliwie czarny, jak czarną jest rozpacz murzyna zamkniętego w ciemnicy o czarym chlebie i czarce wody z Czarnego morza.

I teraz spotkać ją można czasami nad wieczorem tę ongiś „Amorosissinę“ a obecnie „Atlantydę“, a w niej tego ongiś kelnera, a obecnie „naszego Edisona“, jak sycząc i fucząc, kwicząc i burcząc, kwapiąc a sapiąc, tłukąc i hucząc, jedzie z lekkomyślną córką ślusarza, ku nieznanym światom majaczącej przyszłości... za rogatkami, gdzie w pewnej restauracyjce są i raki i pularda i kurczątka i sałatka i czekoladka z dwoma jajkami, której nie czuć tak jak tę domową z ulicy Ochoczej, Wesołej czy karnawałowej... mydlinami...





Śnij dziecino!

Nocką cichą, nocką srebrną,
Gdy ostatnia zejdzie gwiazda,
Płyną dobre, jasne wróżki,
Kędy ludzkie stoją gniazda.
Nad kołyską, nad dzieciną
Jedna wznosi róże, kwiaty:
„Śnij, dziecino, sny złociste,
Dziecinnemi ciesz się laty.
Niech twe chwile jasno płyną,
Róże tylko zbieraj wkoło,
Lecz omijaj zawsze kolce
I przez życie idź wesoło.“

Dr. Jan Stella-Sawicki.

ALGERYA.

(Ciąg dalszy)

Gdy już wszystko było postawione przedemną, i gdym miał już się zabrać do uczty, Kaid nachylił się ku lichtarzowi i zgasił świece. Zostaliśmy w zupełnej ciemności. Nie pojmując, co to ma znaczyć, a lękając się gwałtu jakiego, porwałem się do składanego noża wielkiego, który zawsze nosiłem w kieszeni, podczas podróży mojej po Afryce. Widząc jednak że cisza panuje naokoło, a obecni półgłosem i poważnie rozmawiają z sobą, włożyłem broń do kieszeni i chciwie zapuściłem już nie palce, ale garść całą do misy stojącej przedemną, z której Ayed już się posilał spokojnie. Trudno szło z kaszą bez łyżki, ale zato zemściłem się na kurze upieczonej doskonale, lecz oblanej takim ostrym paprykowanym sosem, że mi potem w gębie piekło aż do wieczora.

Gdym już pierwszy głód zaspokoił i zęby zaprzestały pracować, Kaid klasnął w dłonie, zapalono na nowo świece i zaczęto przynosić następne potrawy, była to pieczeń barania, zaprawiona także sosem paprykowym. Zdjęty ciekawością, dlaczego kazano mi zjeść pierwszą potrawę po ciemku, zapytałem o to poważnego mego amfitriona. „Dlatego, zacny mój gościu, odpowiedział, żeś był głodny; przykroby więc ci było, żeby patrzono na ciebie w chwili, gdy zaspokoić miałeś pierwszy głód, oszczędziłem ci tej przykrości, gasząc światło Delikatności niepodobna posunąć dalej! Jeden zwyczaj tutejszy podobał mi się niezmiernie. Arab nigdy nie prosi gościa, żeby jadł więcej, tak jak u nas naprzykład, gdzie ten moralny przymus czasami do rozpaczy doprowadza, bo według jego zdania, chcąc być grzecznym względem gospodarza, może zjeść nieco więcej, jak mu potrzeba i zachorować potem. Czyż na tem polega gościnność? mówi syn pustyni. Postawiwszy przed gościem potrawę, gospodarz odwraca głowę, żeby zaproszony mógł jeść ile mu się podoba i żeby jadł te kawałki, które mu dopadają do gustu jego. Po każdej potrawie, gdym jeść przestawał, gospodarz brał pół misek i stawiał go przed zaproszonymi gośćmi, którzy dojadywali to, co zostało po mnie.

Po pieczonych kurach wnieśli ogromną pieczeń wielbłądzią. Było to szczytem gościnności, bo wielbłąd w stepach kosztuje 150 franków. Podając mi nóż Kaid prosił, żebym sobie ukroił kawałek według upodobania. Przyznałem mu się otwarcie, że nigdy nie jadłem tej potrawy i dlatego proszę go, żeby sam mi wybrał kawałek, który według ich zdania uważać się będzie za najlepszy, żebym mógł powiedzieć w Europie, że jadłem przysmak arabski. Gospodarz ukroił kawałek mięsa około garbu i podał mi go palcami. Kawałek był kruchy, smaczny, w smaku podobny do polędwicy wołowej bardzo tłustej. Zjadłem go z gustem. Na wety podano daktyle, migdały, rodzynki i pomarańcze. Zapijaliśmy wodą i mlekiem.

W czasie obiadu Arabowie zadawali mi różne pytania o ziemi, z której przybywałem, o jej zwyczajach, o religii i z wielką ciekawością słuchali opowiadania. W rozmowie zauważałem, że Arabowie sułtana tureckiego do dziś jeszcze uważają za pana swojego i za głowę religii.

Po obiedzie Kaid zaprosił nas wszystkich do sąsiedniej wielkiej sali, gdzie było już przygotowane dla mnie krzesło i stolik, a dla innych gości poduszk i dywany. Przyniesiono czarną kawę. Ożywieni dobrym obiadem i widoczną sympatyą dla przybysza, Arabowie zaczęli mnie zasypywać różnemi pytaniami. Naprzód prosili mnie, abym im powiedział, które gwiazdy na ich niebie widziane, błyszczą i w kraju naszym. Wyszedłszy na wolne powietrze, pokazałem im wszystkie znane mi gwiazdy. Zdumiony byłem tem, jak oni doskonale znają swoje gwiaździste niebo i jak silny, przenikliwy wzrok mają te dzieci pustyni. Tam gdzie ja nic już nie widziałem, oni wszyscy jeszcze widzieli gwiazdy. Wróciwszy do sali i zasiadłszy około mnie, prosili, abym im objaśnił urządzenie elektrycznych telefonów, o których słyszeli od podróżnych z północy. Nie było to łatwem zadaniem, ale mając przy sobie kawałek laku i papieru, pokazałem jak smoła potarta przyciąga papier i wychodząc z tego doświadczenia, objaśniłem Arabom jak umiałem ten wielki wynalazek. O, pewnie nie wielu prelegentów miało takich uważanych słuchaczy! Oczy wszystkich były zwrócone na mnie, a było tak cicho, że oddech gości słyszeć było można. Gdym kończąc wykład dodał że wiadomość z Lissan do Mekki w mgnieniu oka może przebyć tę przestrzeń, zdumieni słuchacze zawołali jednogłośnie: Allach! Allach!

Następnie musiałem im objaśnić, co to jest śnieg i lód. Było to jednem z najtrudniejszych pytań, bo jak tu objaśnić co to jest mróz — dzieciom słońca. Na szczęście jeden z Arabów był w górach Dżurdżura i widział szczyty pokryte lodem, on to mnie dopomógł.

Po pewnym czasie rozmowa ożywiła się, moi współbiesiadnicy zaczęli opowiadać różne wypadki z życia swojego, różne zdarzenia. Ayed tłumaczył. Słuchałem ciekawie opowiadań obznajmiających nietylko z zewnętrzym, ale i wewnętrzym światem Arabów. Zdziwiła mnie okoliczność, że wiele z anegdot zabawnych, już mi znaną była, Arabowie dodawali tylko w opowiadaniu imiona działającym osobom. Widocznie, że anegdoty te mogły tak przyjść do nich od nas, jak od nas do tych ostatnich.

Około jedenastej wieczorem, czując się znużonym, pożegnałem gości moich serdecznym uściskiem ręki. Każdy żegnając się, dotykał się serca swego na znak, że pozostaję w ich sercu. Posłano mi na ziemi kilka dywanów, rzucono jeden na drugi i położono kilka poduszek. Podziękowawszy gospodarzowi i uścisnąwszy rękę jego, rzuciłem się na posłanie nie rozbierając się, jak to czyniłem w ciągu całej mojej podróży po Afryce, żebym w razie wypadku jakiego mógł być gotów do drogi w każdej chwili. Gospodarz zaś, poważny starzec, kazał posłać sobie w progu pokoju, w którym spać miałem, żeby nikt nie mógł zaniepokoić gościa w czasie snu jego.

Nazajutrz o świcie byłem już na nogach, ośm wielbłądów objuczonych namiotami i żywnością i piętnastu ludzi pod dowództwem Omara, najmłodszego syna. Każda stało już około domu, czekając wyjścia mego. Eskorta ta miała mnie odprowadzić aż do Tuggurtu, oddalonego o dwa dni marszu od Lissan. Żegnając się ze starym każdem, prosiłem go, żeby przyjął odemnie na pamiątkę piękny nóż w perłową macicę oprawny, który kupiłem we Francyi. Starzec bardzo zadowolony z podarunku, „zacny gościu mój, rzekł do mnie, gdy wrócisz do ojczyzny, a będziesz opisywał podróż swoją po stepach Afryki, nie zapomnij opowiedzieć o gościnności, której doznałeś u Mohameda Kaida liszańskiego“. Uścisnąłem rękę jego serdecznie, uścisnąłem ręce wczorajszych znajomych, którzy zebrali się na pożegnanie i wskoczywszy na siodło, puściłem się w drogę mając z jednej strony Omara, a z drugiej Ayedo. Wielbłądy i służba ciągnęły za nami.

Przebrnąwszy przez rzeczkę Wadi Dszedi, za którą w lewo od nas ciągnęło się obszerne słone bagno, skierowaliśmy się się do oazy Megheir. Po drodze musieliśmy się wspinać na dość znaczny łańcuch gór, oddzielający się ku wschodowi od Dżebel Amuru, który zimową porą pokrywa się niekiedy śniegiem. Mnóstwo parowów które znajdowały się na drodze naszej, wskazywały że i ta miejscowość doznała strasznego geologicznego przewrotu. W jednym z takich parowów, gdzie znajdowały się dość znaczne kałuże wody, zatrzymaliśmy się na noc i kazaliśmy rozbić namioty. W dzień ten zrobiliśmy około 100 kilometrów. Można było dociągnąć do Magheiry, lecz czas był śliczny, pogodny, noc ciepła, mieliśmy czem się pożywić, zwierzęta też nasze miały trochę trawy i wody, wolałem przeto przenocować w stepach, jak znowu prosić o gościnność. Zaledwo rozpaliliśmy ogień z zebranych po drodze korzeni, na wzgórzu pokazała się ogromna plamista hyena z wielką głową, z oczami dziko patrzącemi i z najeżoną grzywą; ohydne to stworzenie, wlepiwszy skośne swe oczy w ognisko, zaczęło wyć przeraźliwie. Kilku Arabów z naszej małej karawany zerwało się na nogi i pobiegli w kierunku, w którym pokazało się zwierzę; hyena zaczęła uciekać i wkrótce znikła za pochyłością pagórka, razem z napastującymi ją Arabami. W godzinę potem wrócili oni nazad, niosąc skórę hyeny i butelkę napełnioną krwią jej, która według zdania, Arabów ma służyć za lekarstwo w niektórych chorobach koni i osłów. Dopadli jej w jakiejś grocie i zabili pałkami, gdyż według pojęć arabskich nie godzi się strzelać do takiego nikczemnego tchórza.

(Ciąg dalszy nastąpi).

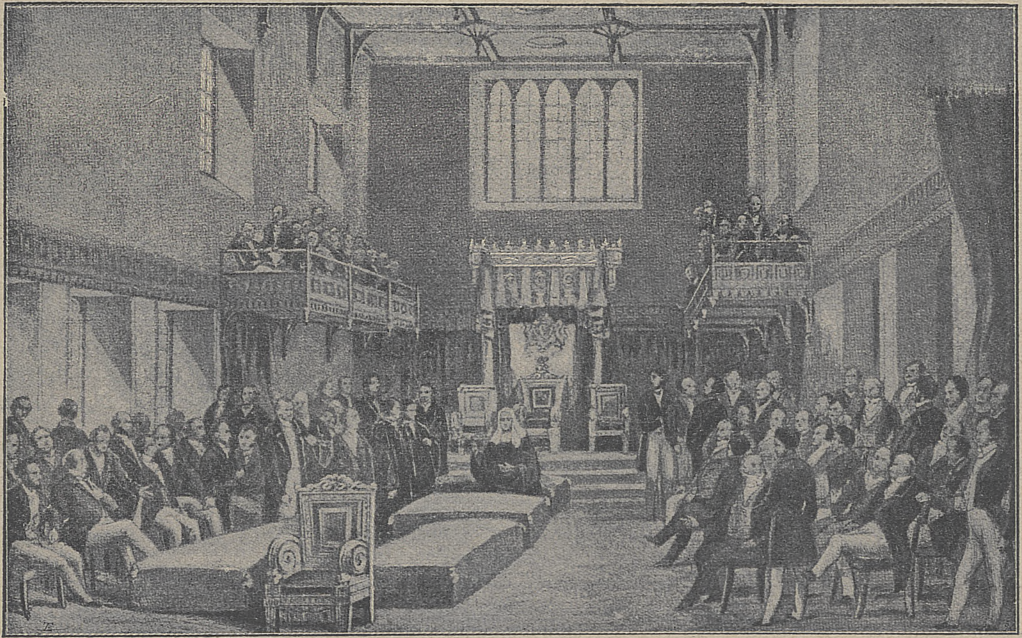
Podróż nadpowietrzna.

We czwartek, dnia 10 b. m., wzniosły się balony wraz z aeronautami z Wiednia, Przemyśla, Paryża, Sztrazburga, Petersburga i Berlina, w celu robienia obserwacyj temperatury, ciśnienia i opadów atmosferycznych powietrza na różnych wysokościach.

W Berlinie balon wzniósł się o g. 8 minut 17 z pola Tempelhofer. Balon ten miał 1300 kubicznych metrów objętości, wypełniony był mieszaniną gazu oświetlającego z wodorem. Do łódki wsiedli: warszawianin p. Berson, który od dłuższego już czasu pracuje w berlińskim Instytucie meteorologicznym i porucznik Holdebrandt, z wojskowego oddziału żeglugi nadpowietrznej. Oprócz odpowiednich przyrządów potrzebnych do robienia obserwacyj meteorologicznych, zabrano do łódki w odpowiednim rezerwoarze 500 litrów tlenu do wdychania, gdy balon wzniesie się zbyt wysoko, ubrania zabezpieczające od silniejszego mrozu i stosunkowo dużo balastu. O g. 8 min 17 balon wzniósł się w górę i zaraz po wzniesieniu się do wysokości 200 metrów, zaczął szybować w kierunku północnym, z szybkością 40 kilometrów na godzinę. Prąd powietrza w kierunku północnym dochodził do wysokości 800 do 1000 metrów. Na większej wysokości prąd powietrza był w kierunku wschodnim. Po dwugodzinnem szybowaniu w kierunku północnym, gdy balon znajdował się już nad Stralzundem, aeronauci postanowili poszybować nad morzem Bałtyckiem, mając nadzieję, że uda im się opuścić w Szwecyi. Ostatecznie o godzinie 1 min. 17 pp. zaczął balon szybować nad morzem w kierunku wyspy Rugii, nad którą następnie pp. Berson i Hildebrandt znaleźli się o g. 2 min. 23. Czarująco przedstawiały się aeronautom z łódki skały kredowe na wyspie. Następnie, gdy balon wzniósł się do wysokości 1,600 metrów, ujrzano po raz pierwszy brzegi Szwecyi, lecz następnie o godzinie $3^1/_2$ ponownie zobaczono brzeg niemiecki. Wspaniale przedstawił się aeronautom zachód słońca, który obserwowali z wysokości 2,000 metrów o godz. 4 min. 10.

Gdy o godzinie 4 min. 40 zrobiło się zupełnie ciemno, balon znajdował się nad Trelleborgiem na wysokości 600 metrów. Następnie szybował nad Malmö, Lund, Landskroną, Eslöf. Potem wzniesiono się do wysokości 3,000 metrów.

Ostatecznie około godziny 10 wieczór opuszczono się na terytoryum folwarku Soenshult pod Hoga Hyltan, 20 kilometrów od stacyi kolejowej Marcaryd, w prowincyi Smaaland. Zetknięcie się łódki z ziemią odbyło się nadzwyczaj szczęśliwie, gdyż pokrywała ziemię gruba warstwa śniegu. Jakkolwiek aeronauci opuścili się bardzo blizko zabudowań folwarcznych i już w niespełna piętnaście minut, zostawiwszy balon po wypuszczeniu gazu w polu, pukali do okien właściciela folwarku Soenshult, tu jednak długo musiano pukać, zanim mieszkańcy domu, zdecydowali się otworzyć drzwi i wpuścić zmarzniętych do środka.



Królowa Wiktorya otwiera parlament angielski w r. 1842.

Spadłych naprawdę z obłoków gości, przebudzeni z pierwszego snu mieszkańcy najwidoczniej wzięli za.. rabusiów, więc długo nie chcieli im otworzyć. Sytuacya była tem trudniejsza, że mieszkańcy mówili tylko po szwedzku, aeronauci znów nie umieli ani słowa w tym języku. Ostatecznie aeronautów wpuszczono. Na migi udało im się jakoś nakłonić gospodarza wraz z domownikami do udania się do balonu, który bezzwłocznie zwinięto i zabrano na folwark. Następnie po powrocie spożyto posiłek i aeronauci po dniu pełnym naprawdę silnych wrażeń, udali się na spoczynek do... stajni, gdyż w małym domku nie było dla nich miejsca.

Co prawda, nie było im tam zbyt gorąco, ani wygodnie, ale ostatecznie przebiedowano do rana, drzemiąc chwilami. Gdy się tylko zrobiło widno, gospodarz folwarku sprowadził od sąsiada „parobkalingwistę“ który przed laty był w Ameryce, więc cokolwiek umiał po angielsku i ten ułatwił aeronautom wytłómaczenie, kto zacz są oni, skąd się wzięli i czego chcą. Następnie więc zapakowano balon i na saniach przewieziono do odległego 20 kilometrów Marcaryd, gdzie przyjechano o godz. 5 pp. (11 stycznia). Wkrótce po przybyciu aeronautów do tej miejscowości, zaczęto telefonować do hotelu, w którym zatrzymali się, ze Sztokholmu, Malmö i wielu innych miejscowości, co wymownie świadczy, jak telefony w Szwecyi są rozpowszechnione i jak wiadomości prędko rozchodzą się po kraju.

Dnia następnego, tj. w sobotę d. 12 stycznia aeronauci pojechali do Malmö, gdzie porucznik Hildebrandt zameldował się komendantowi, stojącego w tej miejscowości pułku huzarów imienia szwedzkiego następcy tronu. Oficerowie tego pułku urządzili na powitanie tak niezwykłych gości śniadanie w kasynie pułkowem. Popołudniu porucznik Hildebrandt i p. Berson, żegnani serdecznie przez oficerów, opuścili Malmö, udając się przez Kopenhagę, Warnemünde, do Berlina.

Jakkolwiek p. Berson wznosił się już sześćdziesiąt razy balonem, a porucznik Hildebrandt dwadzieścia, to jednak szczęśliwa podróż w nocy ponad morzem, zapisała się silnie w ich pamięci.

Wogóle po raz pierwszy balon z aeronautami z Niemiec przeszybował nad morzem Bałtyckiem do Szwecyi.

Bertold Menkes.

DZIECI PISZĄCE DRAMATY.

(Przyczynek do psychologii dziecka).

Prowadzony za rękę przez 9-cio letnią Halusię, idę do jej „domku“. Nie jest to właściwie dom — ale kąt dziecinnego pokoju, który mała Halcia przeobraziła na przybytek swych zabaw. Jest tam więc miniaturowa sypialnia z dwoma łóżeczkami, na których śpi około pół tuzina najrozmaitszej wysokości laleczek, jest jadalnia z szafką na porcelanę i stolikiem, zasłanym pstrym gałgankiem, jest kuchnia, w której z jabłek, pomarańcz, cukierków i czekolady sporządza się „bale“ dla lalek. Mała Halcia przyklękła około swego domku, ja również — i poczęliśmy się bawić. Ona zupełnie seryo i szczerze, ja z udaną szczerością i zainteresowaniem, aby dziecku nie psuć illuzyi. Wreszcie, kiedy zyskałem u dziecka większe zaufanie, zapytała z tajemniczą minką:

— A czy pan pisze dramaty?

Roześmiałem się.

— Bogu dzięki, nie. A dlaczego o to Halusiu pytasz?

— Bo... bo... ja... tak...

— Co???

— Tak, tak, proszę pana. A chce pan przeczytać?... Ale pan się będzie śmiał...

Ależ nie, nie, moja Halciu.

— No, to dobrze, Ale musimy pójść z tego pokoju, boby się lalki przez głośne czytanie przebudziły...

O boska naiwności! Autorka dramatów, która się boi, aby głośne czytanie nie obudziło ze snu — lalek!

Idziemy więc do przyległego pokoju, a tam pokazuje mi 9-cio letnia Halusia Z. swój dramolet, który podaję w dosłownem brzmieniu:

Gwałtu co się dzieje!

Osoby:

Ksiądz Aleksander
Tekla, jego żona
Józef, jego brat
Anielcia }
Andzia } jego dzieci
Jurko }
Żebraczka

(Rzecz dzieje się we wiosce księdza Aleksandra)

AKT I.

Scena przedstawia pokój. W prawo stoi stolik z książkami i albumem. W lewo wielki dywan, na którym bawią się dzieci pajacami i lalkami. Cisza — tylko słychać zegar z jego: tik, tak.

Anielka: Gdzie tatuś i mamusia poszli?

Andzia: Poszli na spacer, tato powiedział: dzieci nie wychodzić!

Jurek: (wesoło) Zaspiewajmy co.

Wszyscy: Przyszła już wiosna, słychać więc [spiew,
To ptaszę spiewa, pod cieniem drzew.
Piosenką swą zawitał już; ach, ptaszę to jest lube...

Jurek: (przerywając) Cicho, słyszycie?

Dzieci: (przerażone) Co takiego?

Jurek: (zbladły jak chusta) Ktoś drzwi otworzył?

Aleksander (wpadając): Wójcio przyjechał!

AKT II.

Scena przedstawia pokój sypialny. (Wchodzi Józef, za nim Tekla.)

Józef: Gdzie jest tatko, moje dzieci.

Dzieci: Tatko w swoim gabinecie.
(Józef wychodzi, za nim Tekla)

Żebraczka: (za drzwiami) Chleba! chleba! (wchodzi)
(Jurko daje jej swoje śniadanie)

Żebraczka: (odchodząc) Całuję rączki.

AKT III.

Scena przedstawia gabinet. Dzieci wchodzą i mają taki widok. Tekla leży zemdlona na ziemi; ksiądz Aleksander leży na kanapie z zamkniętemi oczyma; Józef przebija się sztyletem.

Dzieci: (biegając po pokoju) Gwałtu, co się dzieje!

(Kurtyna spada).

— — — — — — — — — — — — — —

Dramat, oryginalnie napisany przez 9-cio letnie dziecko! Czy nie fenomen?...

Czar, jaki zeń płynie, tembardziej staje się uchwytnym, im więcej sobie naiwności czytelnik uświadomi, która przebija z dramatu małej Halusi. Bo jak paradnemi są niektóre epizody dramatu! Np. końcowa scena pierwszego aktu. Halusia wie, co to zgroza, i jak się ją wywołuje. Używa jej jednak w niewłaściwem miejscu, bo w najprozaiczniejszej chwili przybycia „wójcia Józefa“. Albo ta pani Tekla! Nic na scenie nie mówi, ani się jednem słówkiem nie odzywa, tylko ciągle kroczy za Józefem. „Józef wchodzi, za nim Tekla“, lub „Józef wychodzi, za nim Tekla“. Albo wreszcie okropny akt trzeci! Katastrofa! Sztylet! Aleksander na kanapie, Tekla pod kanapą, dzieci wokół biegające!

Dramat Halusi jest par excellence tragedyą rodzinną, społeczną, towarzyską, wyrazem pojęć małej dziewczynki o tych strasznych powiązaniach bolu, rozpaczy, walk wewnętrznych, jakie nękają osoby dorosłe.

A jak sobie te kataklizmy wyobraża chłopak? Zupełnie inaczej. Ten tworzy nie dramat rodzinny, ale bohatersko-kolturnowy, „eine Heldentragödie“. Bo chłopak w okresie życia między rokiem 10—15 jest usposobionym wielce wojowniczo; czytał opis walk u dzikich ludów — toteż na podwórzu lub łące stara się wespół z towarzyszami zabaw odtworzyć te walki z ich romantycznemi przygodami i niebezpieczeństwami, rozkoszuje się myślą, iż sam jest wcielonym w bohatera indyjskiego, iż rozporządza wielką siłą, iż rozkazuje. Bo ta chęć rozkazywania, sprawowania komendy nad innymi jest reakcyą przeciw zupełnemu brakowi woli indywidualnej, jaką okazywać musi w stosunku do rodziców czy wychowawców.

Z tego ducha płynie drugi dramat, jaki przypadkowo się dostał w moje ręce, a którego autorem jest 11-to letni chłopak. Sprzykrzywszy sobie zabawę „w żołnierzy“, „w chowanego“, „w zbójców i żandarmów“, postanowili chłopcy zabawić się w wojnę. Jeden z nich, mały Julek K., jako najżywszy i najinteligentniejszy z pomiędzy nich, zobowiązał się „zrobić teatr“, któryby niejako stanowił prolog, przedwstępną zabawę, przygrywkę do właściwego przedstawienia obrazu wojny.

Dramat Julka K. tak się przedstawia w dosłownym odpisie:

Teatr, zrobiony przez Juliusza K.

(Scena jest w domu króla).

Przychodzi posługacz, zaświeca świecę i mówi:

Już trzy na dziesiątą, a mój pan jeszcze nie przychodzi na śniadanie.

Daje się słyszeć odgłos myśliwskich rogów.

Przychodzi król z polowania i mówi:

Byłem na polowaniu i wypędziłem niedźwiedzia z głębokiego lasu. Tymczasem on się na mnie rzucił i chciał mnie rozedrzeć.

Król się obraca i siada na tron.

Przychodzi Chrystyan i mówi:

Siedzi znów na tronie ten długi nos!

Król: Wzywam cię na pojedynek.

Przychodzi wojsko i trębacz. Król mówi do trębacza:

Daj znak do pojedynku.

Trębacz trąbi. Odbywa się pojedynek.

Chrystyan rani króla w rękę; król spuszcza szablę na podłogę, później podnosi ją i mówi:

Choć mnie boli, idę dalej na pojedynek.

Król rani śmiertelnie Chrystyana i woła do żołnierzy:

Wybrać mu oczy i wsadzić go do kryminału.

Król siada na tron dalej.

Przychodzi kapitan wojsk i mówi:

Królu! Wielkie nieszczęście! Uciekł nam z więzienia Chrystyan i krzyczał po drodze, że namówi nieprzyjaciół, żeby wpadli do naszego kraju.

Król: Co mówisz kapitanie?

Kapitan: To, co mości pan słyszał.

Król: Jutro wojna!

(Kurtyna spada).

— — — — — — — — — — — — — —

Proszę sobie teraz wyobrazić przecudowną naiwność tego iście chłopięcego tworu wyobraźni. Tron — to stary fotel, na którym babusia drzemkę poobiednią odbywa. Berło królewskie — to piórko do strzepywania prochów. Zbroja orszaku władcy sporządzona z gontów, lasek, haczka do zgartywania węgli, płaszcz królewski — to futro ojca, swą wewnętrzną stroną na zewnętrz przenicowane. A sami bohaterowie dramatu! Król z długim nosem, stanowiącym powód do crimen laesae maiestatis, waleczny Christian, który mimo utraty wzroku ucieka z więzienia, a wreszcie przerażony kapitan, obawiający się stracenia względów i łaski królewskiej.

Zestawiając oba „dramaty“, 9-cio letniej dziewczynki i 11-to letniego chłopca, możnaby wiele wyciągnąć konsekwencyi co do ustroju psychicznego, usposobienia i poglądu na świat obu płci. Wyobraźnia dziewczątka wyczarowała obraz, którego

tłem jest tatuś, mamcia, żebraczka, obdarowana przez grzeczne dzieci, lalki, pajace, dzieci śpiewające i bawiące się składnie. W wyobraźni zaś chłopca majaczeją obrazy śmielsze, groźniejsze, szersze: wojna, pojedynki, król, szeregi wojsk — oto jego żywioł, oto teren, na który rwie się dusza chłopaka, na którym działaćby rada.

Z tego też punktu widzenia przedstawiają się zwyż przytoczone, autentyczne obrazki dramatyczne jako interesujący przyczynek do psychologii dziecka.

Są jednak i z innego powodu ciekawe. Może w tych dwócb dzieciakach tkwi materyał na Sofoklesów, Szekspirów, Słowackich...? Boć przecież objaw to nie codzienny i zwykły, aby tak młode dzieciaki taką rozporządzały wyobrażennością i taką siłą uplastycznienia swych wyobrażeń, jaką właśnie objawiają najmłodsi dramaturgowie: Helusia Z. i Julek K.

MUZYKA.

Nowy kapelmistrz opery p. Spetrino rozpoczął swoją pracę wystawieniem „Carmen" Bizeta. I dobrze zrobił, bo Carmen po pierwsze, dała mu znakomite pole do popisu, a potem przerwała nareszcie rozpaczliwą malancholię dwumiesięcznego sezonu nudnej Marty, ogranego Nietoperza i wystawionych słabo Pajaców. Carmen, którą już Nietsche zachwycał się niepomiernie w swej epoce antiwagnerowskiej, nazywając ją szczytem tego, co geniusz ludzki w muzyce może stworzyć, Carmen ze swojem librettem dramatycznym i pięknem, które bez muzyki mogłoby być dobrą tragedyą, jest rzeczywiście jedną z najgenialniejszych i najpiękniejszych oper.

Dzika cygańska nuta przewija się ciągle w tem dziele, nadając całości pewien ściśle określony charakter. A poza tem tyle jest w tej muzyce piękności, takie bogactwo melodyi i genialnych fraz, że słuchacz przez całe cztery akty pozostaje w ciągłem naprężeniu. Do najgenialniejszych ustępów należy cały prawie akt trzeci, pełen tajemniczości i grozy w przygrywce i aryi z kartami, a z drugiej strony wyciskający łzy cudowną aryą Micaeli.

Carmen, to może jedyna opera, wykończona tak znakomicie, że każdy takt, każda nuta jest ważną i potrzebną, co wszystko razem tworzy jednolitą całość. Bizet, pochwyciwszy pewien ton zasadniczy, podtrzymuje go nieustannie i w tem właśnie jego mistrzowstwo, że nadał swemu dziełu pewnego ducha — jest w tem coś ogromnie dzikiego, egzotycznego, niewyczerpane skarby fantazyi i smutny aż do rozpaczy liryzm.

P. Spettrino pokazał się wielkim artystą. Bo prócz staranności i pietyzmu, z jakim wystawił operę, znać było wielką pracę nad prawdziwie artystycznem wykończeniem całości. Ustępy pojedyncze, wychodziły wobec tego czasami za mało dziko i bez cygańskiego temperamentu, ale całość robiła wrażenie jednolite i skończone.

P. Spettrino oprócz rutyny posiada jeszcze olbrzymi spokój, niezwykłą pamięć partytury i elegancyę, co pozwala mu zapanować zupełnie nad chórem i orkiestrą, których losy zawisłe są zupełnie od okrągłych, miękkich i pięknych ruchów kościanej pałeczki dyrygenta. To wszystko wróży nam jak najlepiej — teraz pod tak znakomitem kierownictwem może się nasza opera rozwijać dalej bez przerwy, zwłaszcza, że w dzisiejszym stanie orkiestra teatru przedstawia znakomity materyał...

Soliści nie zadowolnili nas ani w części tak, jak praca p. Spettriny. P. Strassern wyglądała jak rodzona cyganka, grała też niezgorzej, bo posiada wrodzony już temperament, ale głosowo była słabą. Brak nizkich tonów, które jedynie dzięki pajęczemu akompaniamentowi orkiestry, były choć trochę słyszalne, nie pozwolił p. Strassern mimo wszelkich warunków, stworzyć skończonej kreacyi. P. Warmuth wyglądał jak komiwojażer, w mundurze — chcąc więc wynagrodzić choć w części braki w grze i wyglądzie śpiewał bardzo pięknie. Szkoda, że w tak brzydkiem ciele, taki piękny głos się kryje. P. Szymański w trzecim akcie rozspiewał się, ale arya główna w drugim przeszła mdło... P. Ruszkowska z wdzięcznej roli Micaeli nie wydobyła wszystkich możliwych piękności, ale była jak zwykle sympatyczną. Jeszcze raz jednak muszę nadmienić, że p. Ruszkowska powinna pracować nad ustawieniem swego głosu, czego nie potrafił zrobić p. Wysocki. Zwłaszcza tony wysokie brzmią nierówno i niepewnie.

TEATR.

(*„Najstarsza" sztuka w 5 odsl. Lemaitrea*).

Dramat Lemaitrea jest najlepszym dowodem, iż do stworzenia prawdziwego tworu dramatycznego nie wystarcza ani znajomość wymogów scenicznych, ani krytyczne zapatrywanie się na żywotne sprawy społeczeństwa, ani nawet zdolność wysłowienia się jaknajtrafniejszego, ani wreszcie znawstwo zbiorowej duszy widzów celem zadośćuczynienia jej gustom — iż nieodzowny jest przyrodzony nerw dramatyczny, który dozwala pisarzowi nadać każdemu tematowi piętno żywotności, tętno zdrowia. Widocznym też jest brak tego nerwu w „Najstarszej". Dramat ten nuży. Widz zapytuje się w duchu: poco właściwie, z taką epicką szerokością, przez pięć aktów rozprowadzać długą historyę o pięciu córkach pastora, pojmujących życie ze strony praktycznej i osiągających cel swego życia t. j. zamążpójście, i jednej — najstarszej i najgodniejszej z nich — dealizującej to, co zwykle jest brutalnie pojmowane, i wychodzącej na tem zawsze najgorzej? Bo „Najstarsza" należy do pièces à thèse, i do tych, które bronią swej tezy, nie powagą argumentów dowodowych, nie doniosłością kierunku moralnego, który propagują, ale satyrą, wykpiwaniem, zgryźliwą ironią, polegającą na tem, iż autor, przedstawiając bohaterów na scenie w szeregu obrazów, odzwierciedlających ich stosunki, wciąż zwraca uwagę widza: patrz, jacy oni głupi, jak małostkowi, jak płascy.

Wskutek tego musiał Lemaitre sztukę nadziać szczegiem epizodów, służących mu jedynie do umożliwienia widzowi nabrania tem silniejszego przekonania o małostkowości i płaskości osób przez się na scenę wprowadzonych. Następstwem tego jest przeładowanie całej sztuki materyałem dowodowym, tak iż niejednokrotnie nie potrafił autor przebiegu akcyi wraz z cząstką bardziej się ścieśniającym węzłem dramatycznym na jednym utrzymać poziomie, iż w drugim, trzecim, nawet czwartym akcie, musiał przydawać coraz nowe fakta, sytuacye, osoby, luźnie tylko do całości przystające, byle tylko przystosować się do założenia, byle tendencyi z oka nie stracić.

W podobnych utworach dramatycznych, gdzie błąd polega na braku przyrodzonego uzdolnienia autora do wybierania jednych a omijania niestosownych pierwiastków twórczych, równoważnikiem tego błędu jest wspaniale prowadzony dyalog, różnorakość scenicznego aparatu zdarzeń, a wreszcie satyra, ta przepotężna broń w ręku umiejącego nią władać, satyra, która

„prawdę mówi, pochlebstw się wyrzeka,
Wielbi urząd, czci króla, lecz sądzi człowieka".

Nie potrzebuję tedy dodawać, że ta strona dzieła, była przedniego gatunku. Boć przecież autorem jego jest Lemaitre, ten genialny „sędzia człowieka" współczesnego. *b.—m.*

(*„Ocknienie“ sztuka w 3 aktach K. Rakowskiego*).

Najświeższą premierą w teatrze naszym był dramat dra. Kazimierza Rakowskiego, p. t. „Ocknienie“. Rzecz ta uzyskała zaszczytne odznaczenie na konkursie Wydziału krajowego, na co zasługuje w zupełności. Autor z ogromną siłą otworzył walkę narodowościową, jaką toczą rodacy nasi w Poznańskim z nawałą germanizacyi. Niezwykłe stosunki wywołują też sytuacye, jakich w życiu codziennem nie bywa; czuć tu walkę nieubłaganą, zapasy na śmierć i życie, a ponad wszystkiem, co się dzieje na scenie, płynie taka groza, że ma się wrażenie, jakbyś stał w ogniu wojennem i drżysz jeno, niepewny, żali to będą Racławice, czy Termopile... Ale po zapadnięciu kurtyny, wierzysz, iż taka praca, takie poświęcenie, nie może pójść na marne; padnie wielu w bohaterskiej walce o ziemię ojczystą, ale — sprawa, co takich ma obrońców, zwyciężyć musi!

Sztukę przyjmowano gorąco, a artyści grali ją tak, jak chyba lepiej już nie można. I więcej: uzupełnili autora, albowiem budowa i charakterystyka osób jest w „Ocknieniu“ dość prymitywna i powierzchowna, a w intepretacyi pp. Solskiego, Romana, Tarasiewicza, Kwiatkiewicza, oraz pań Ciechockiej i Michnowskiej widziało się, jak bardzo aktor może pogłębić typ i odtworzyć żywych ludzi tam nawet, gdzie autorowi niezawsze się to powiodło. Tylko pani Rotterowa, przynajmniej na pierwszem przedstawieniu, wypadała chwilami z roli, jak gdyby tego wieczora nie była usposobioną. Dramat Rakowskiego powinien utrzymać się stale na naszej scenie. *Kl. K.*

Ze świata.

Książę Broglie, członek Akademii Francuskiej, o którego śmierci doniosły depesze, dożył lat 79. Syn ministra Ludwika Filipa, a wnuk pani de Staël, był do końca życia gorącym sprzymierzeńcem Orleanów. Za cesarstwa nie chciał grać żadnej roli i dopiero w r. 1871 przyjął mandat do zgromadzenia narodowego, gdzie zwalczał republikę. On to spowodował upadek Thier'a i nakłonił Mac-Mahon'a do objęcia spuścizny po nim, w oczekiwaniu przywrócenia królestwa. Przed laty piętnastu usunął się ks. Brogie zupełnie z areny politycznej i poświęcił się całkowicie działalności literackiej. Za najbardziej zajmujące z licznych jego dzieł historycznych uważane jest wydane w r. 1878 p. t. „Secret du Roi“ (Tajemnica króla), w którem oświetla osobistą dyplomacyę Ludwika XV.

*

Ostatni obraz Boeckina. Zmarły niedawno w Fiesoli znakomity malarz Arnold Boecklin przed samą śmiercią pracował nad fantastycznem płótnem, wyobrażającem „Dżumę“. Artysta przedstawił tam ulicę z chorymi na tę straszną zarazę. Obraz jest prawie ukończony. Nad pozostałą po mistrzu spuścizną artystyczną, składającą się z szeregu nieukończonych obrazów, czuwa z wielką starannością rodzina.

*

Nagrody naukowe w sumie 50.000 fr. wyznaczyła znów paryska Akademia medyczna na rok 1903. Między innemi przeznaczono nagrodę „Barbier'a“ w kwocie 2.000 fr. za odkrycie niezawodowego środka leczniczego na raka, epilepsyę, skrofuły, itp. choroby, uchodzące dotąd za nieuleczalne; nagrodę „Bourceret'a“, 2.000 fr., otrzyma autor najlepszej pracy o krążeniu krwi; nagrodę „Buignet'a“, 1.500 fr., — autor najlepszej pracy o zastosowaniu fizyki, lub chemii do medycyny; nagrodę „Maryi Chevallier“, 6.000 fr., — autor najlepszej pracy o pochodzeniu, rozwoju lub leczeniu suchot, oraz innych chorób gruźliczych.

*

Jan Faber. W Norymberdzie zmarł człowiek, którego nazwisko znane było we wszystkich pięciu częściach świata każdemu, ktokolwiek ołówek trzymał w ręku. Był nim Jan Faber, założyciel wielkiego przemysłu ołówkowego w Norymberdze. Przemysł ten do dziś dnia z innymi współzawodnikami skuteczną wytrzymuje konkurencyę.

*

Wyprawa do bieguna południowego. Dr. Nordenskjöld, znany podróżnik i uczony, zażądał, jak donoszą z Göteborga, pomocy państwowej w sumie 35.000 koron, aby módz urzeczywistnić projektowaną wyprawę do bieguna południowego, na szerszą skalę. Program wyprawy obejmuje przezimowanie w strefie podbiegunowej, badanie głębi morskiej, wycieczki w kierunku południowym, oraz wspólną pracę z wyprawami niemiecką i angielską, zwłaszcza w dziedzinie meteorologii i magnetyzmu ziemi. Koszta ogólne obliczone są na 115.000 koron, z których 75.000 jest już zapewnionym.

Nowości literackie.

Marya Rodziewiczówna. „Niespokojne ptaki“. Powieść.

„Nieoswojonym ptakiem“ jest młoda i piękna dziewczyna, wychowana przez dziwaka stryja zdala od świata i ludzi, a poślubiona następnie artyście Stankarowi. Wprowadzona w świat obłudy i konwenansów z jednej, a kaprysów męża-artysty z drugiej strony, Tola Stankarowa, jest jak w klatce. Dusza jej szamoce się tam i tłukąc boleśnie o żelazne pręty obowiązku i prawa, zraniona, wyrywa się ku dawnym swoim ideałom, ku dzikiej prostocie dzieciństwa. Kolizye, jakie następują pomiędzy dwojgiem małżonków, obojgu im łamią życie. Wspólne istnienie staje się dla nich niemożliwe. Tola naprzód ucieka, potem na podstawie porozumienia się z mężem opuszcza go i wraca do swoich pól szerokich i puszcz zarosłych.

Powieść jest przyczynkiem do kwestyi t. zw. „małżeństw niedobranych“. Myśl jej przewodnią streszczają słowa jednego z bobaterów, starego profesora. Mówi on do Stankara: Marnują się z tej racyi miliony talentów i charakterów, tylko o tem nekrologów nie piszą i statystyki nikt nie prowadzi. Bądźże ty wyjątkiem, jeśli żona sama do ciebie dobrowolnie nie wróci — nie pakuj słowika gwałtem do klatki, bo ci śpiewać nie będzie, ani sam, jeśliś orzeł, nie osiadaj w dolinach. Mniejsza, co tłum gadać będzie, żyjcie raczej każde w swem świecie, niż macie zabić ducha dla dogodzenia gawiedzi...

„Nieoswojone ptaki“ nie wystrzelają zresztą niczem ponad poziom dotychczasowej twórczości p. Rodziewiczówny.

*

Józef Krajewski. „Odrodzenie“. Poemat w czterech pieśniach.

P. Krajewski ma pewną wprawę w rymowaniu, a chociaż tu i ówdzie poważnie grzeszy przeciw estetyce, zapomina o poezyi i pisze poprostu t. zw. posiekaną prozą, to przecież umie od czasu do czasu zdobyć się na strofę, która brzmi ładnie i poprawnie, jak strofa XXVIII w pieśni I. Umie także zdobyć się na pewien polot, czego złożył dowód w początku kaskadowego wiersza, poświęconego Ludzkości, a utrzymanego w charakterze improwizacyi.

Z tem wszystkiem poemat jego należy do utworów chybionych. Ani formą, ani treścią nie odpowiada on wymaganiom sztuki, a swoim satyryczno-sceptycznym tonem wywołuje niesmak. To, co jest doskonałe u Byron'a w Don-Juanie, co jest błyskotliwe i ostre, jak klinga damasceńska, u Słowackiego w Beniowskim — u p. Krajewskiego staje się bezbarwne, bezdźwięczne, niezmiernie w niektórych wypadkach płytkie; p. Krajewskiemu nie sądzono snać zająć miejsca w spółczesnym Parnasie polskim.

*

Wyszła świeżo z druku niezwykła książka treści rolniczej. Tytuł jej „Grzechy gospodarskie“, autorem dr. Gustaw Boehme, a tłumaczem p. St. Rewieński.

„Grzechy gospodarskie“, to cały szereg błędów, ekonomicznych i gospodarskich, powszechnie popełnianych, a wpływających ujemnie na osiągany dochód czysty. Autor zestawił owe wykroczenia w sposób nader zręczny, wykazując ich doniosłość, oraz podając sposoby racjonalnego postępowania w każdym wypadku. Tłumacz, oryginał niemiecki w niektórych miejscach nieco zmienił, dostosowując rzecz do naszych warunków.

Dzieło, o którem mowa, stanowi na horyzoncie wydawnictw rolniczych — powtarzamy — zjawisko niezwykłe.

„Grzechy gospodarskie“ należą do tych książek, których każdy rolnik ma pamięć nauczyć się powinien.

Bańki mydlane.

— Wystaw sobie...
— Co?
— Horrendum!
Wracam wprost od Wydymalskich...
— Cóż takiego?
— Straszne rzeczy!
Wystaw sobie strejk.. Fikalskich!
— Strejk Fikalskich? czyż być może?
— Jak mię widzisz!
— Nie do wiary!
— Wystaw sobie... dają wieczór
Do mazura cztery pary!
— Jak to było?
— Poczekajże...
Dają wieczór *ex re* córek...
Znasz... blondynki wypłowiałe,
Wyściągane na sześć dziurek!
— I cóż dalej?
— Poczekajże!
Idę tedy... Torty! ciasta..
O „kolacyi“ ani dudu,
Choć godzina już dwunasta!
Tańczym jednak.. Bab bez liku!
W pół do pierwszej jeszcze cicho!
Mówi Fonsio do Adolfa:
„Wiesz co z „papu“ jakoś cicho!“
Tańczym jednak... Trzy kwadrense..
Nic! Walc.. polka... Butersznity!
Spojrzał jeden na drugiego
I wynosi się jak zmyty!
Najpierw Fonsio... za nim Janek...
Fipcio... Franio... Wręcz nikogo!
„Punctum“ pierwsza do mazura...
Ani psa z kulawą nogą!
Wiesz kto tańczył? Radca... sędzia...
Ja się jeden nie wykradłem...
— I tańczyłeś?
— Niema głupich.
Lecz „kanapki“ wszystkie zjadłem!
— A coż na to Wydymalscy?
— No co? Zgadnij! bardzo proszę!
— No?
— Poprzysięgli na raz drugi
Zamknąć palta i kalosze.
El.

Wydawca: K. Kołakowski. Odpowiedzialny redaktor: Wład. Strzelecki.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ (Dra Feliksa Woynarowskiego) pod zarządem Franciszka Kattnera, ul. Cicha l. 5.

KANTOR WYMIANY
BANKU GALICYJSKIEGO
dla handlu i przemysłu

ul. Jagiellońska l. 3. I. piętro

(dawny lokal Banku kredytowego)

zawiadamia P. T. Publiczność, że kupuje i sprzedaje wszelkie **papiery wartościowe i waluty zagraniczne** po możliwie najskrupulatniejszych kursach, uskutecznia pod takiemi samemi warunkami wszelkie **zlecenia giełdowe** zarówno na giełdzie wiedeńskiej, jak i giełdach zagranicznych, wydaje na wszystkie znaczniejsze miejscowości świata i zagraniczne miejsca kąpielowe bezpośrednie przekazy i listy kredytowe, wreszcie **wypłaca wszelkie kupony** możliwie bez potrącenia jakiejkolwiek prowizyi inkasowej. 5—52

Godziny urzędowe: od 9—12½ przedpołudniem i od 3—4½ popołudniu.

Biura Związku gal. producentów

„ROPY"

stowarzyszenia zarejestrowanego z ograniczoną poręką

znajdują się

we Lwowie, ul. Chorążczyny l. 17.

(Dom naftowy) I piętro. 9—10

Ferdynand Güttler

Magazyn towarów modnych

Lwów, ul. Halicka l. 20.

Towar doborowy	**Boa gazowa**	**Aplikacye**
Wielki wybór	**Szale jedwabne**	**Pasmanterye**
Ceny niskie	**Żaboty**	**Paski**
	Weloniki	**Gorsety.**

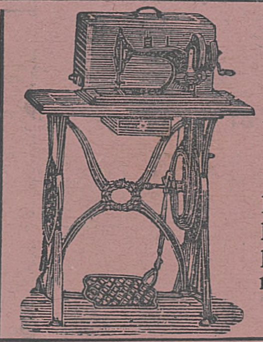
14—52

Handel A. Hawełki
Kraków

poleca towary kolonjalne, wszelkie delikatesy polskie, francuskie, angielskie, włoskie i amerykańskie.

Kompletne dostawy dla rautów, bankietów i wesel. — **Gabinety** dla zebrań towarzyskich.

Telegram: *Hawełka, Kraków.* — Telefon 330.



Handel towarów żelaznych, metalowych i wyrobów nożowniczych.

KAROLA HAUSWALDA
w Stanisławowie

poleca główny skład maszyn do szycia poprawnych **SINGERA** i innych systemów pod gwarancyą po cenach przystępnych na raty miesięczne, za gotówkę 10% opustu, jakoteż kasy ogniotrwałe. 12—12

DOM BANKOWY i KANTOR WYMIANY

SOKAŁ i LILIEN

we Lwowie, ul. Hetmańska l. 12 (Hotel Langa)

kupuje i sprzedaje listy zastawne Towarzystwa kredytowego, gal. banku krajowego, jakoteż obligacye komunalne banku krajowego i obligacye gal. pożyczki krajowej i wszelkie renty, losy rządowe i prywatne, akcye kolejowe i obligacye pierwszeństwa, również wszelkie monety krajowe i zagraniczne pod najkorzystniejszemi warunkami.

Przyjmuje za mierną prowizyą wszelkie zlecenia wchodzące w zakres interesów bankowych. 15—52

Zlecenia z prowincyi wykonuje jak najrychlej.

Światowa wystawa. — Paryż 1900.

Odznaczenie na wystawach!

Złoty medal! Złoty medal!

DOSKONAŁE

wina dalmatyńskie, chorwackie i styryjskie stołowe, deserowe i kuracyjne

poleca 5—12

ręcząc za ich prawdziwość i naturalność

SKŁAD WIN

Braća Didolić

Lwów, ul. Czarnieckiego l. 3.

Pokój do zebrań towarzyskich!

WĘGIEL
GÓRNOSZLĄSKI I WĘGIERSKI

całemi wagonami oraz częściowo

u firmy

K. GOSTYŃSKI i J. ALS

we Lwowie, Czarnieckiego l. 3.

(Węgiel węgierski przeszło 30% tańszy).

Drzewo na opał bukowe i sosnowe.

Telefon Nr. 537. Telefon Nr. 537.

14—14

Poleca się HANDEL WINA Ludwika Stadtmüllera we Lwowie ul. Krakowska l. 9.

2—12

Z drukarni „Dziennika Polskiego", ul. Cicha 5.